

W NUMERZE:

**DYSKUSJA
NAD MODELEM
KSZTAŁCENIA
ZAWODOWEGO**

5

**KORESPONDENCJE
Z ZAGRANICY**

6 7

**Z WIZYTĄ
W RADACH
ZAKŁADOWYCH**

8

MELDUNEK Z OHP

3



GŁOS NAUCZYCIELSKI 31

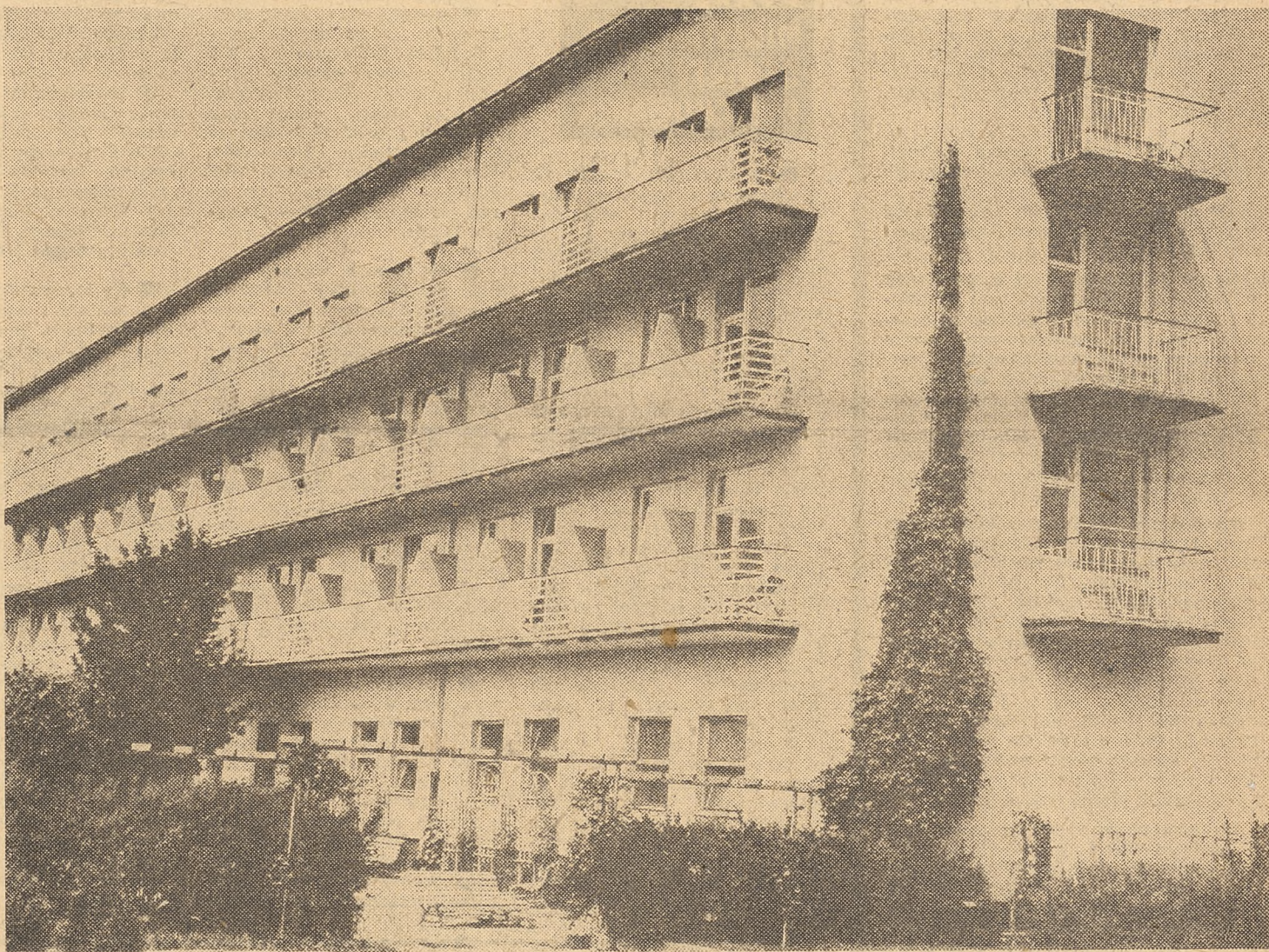
5 VIII 1979

CENTRALNY ORGAN ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Podczas długotrwałej wojny Indochińskiej, w latach 1965—1975, widziałam wiele szkół wietnamskich i laotańskich, pracujących w niesłychanie ciężkich warunkach ewakuacji, z dala od większych skupisk ludzkich. Szkoły te funkcjonowały przez całe wojenne dziesięciolecie, działając w schronach, w ziemiankach, w grotach i pieczarach górskich. Widziałam wtedy dzieci zmęczone, wyczerpane, niedożywione i równie zmęczonych, niedożywionych nauczycieli. Ale nigdy nie widziałam dzieci-skieletów, tak straszliwie wychudzonych jak w Kambodży, dzieci, na których twarzach i ciałach cztery lata głodu i nieludzkiej egzystencji odcisnęły swoje piętno. Dzieci wietnamskie i laotańskie były oioczone opieką, były wychowywane. Nie bały się przybyszów. Dzieci kambodżańskie są wciąż jeszcze spłoszone i nieufne. Trzeba dłuższej chwili i wiele ciepła w oczach, w głosie, aby na ich twarzach wywołać nikły uśmiech — pisze **MONIKA WARNEŃSKA** w korespondencji z Kambodży.

POWRÓT DO ŻYCIA

7



Sanatorium w Ciechocinku znane jest dobrze nauczycielom. Przyjeżdżają tu ludzie cierpiący na schorzenia reumatyczne, niedomogi narządów ruchu i układu krążenia. W roku bieżącym z leczenia skorzysta ponad 2800 kuracjuszy. Pełna obsada lekarska, pielęgniarek, masażyistów i specjalistów od fizykoterapii zapewnia stosowanie nowoczesnych zabiegów terapeutycznych.

Godna podkreślenia jest również troska kierownictwa o uprzyjemnienie kuracjom wolnego czasu. Z proponowanego im bogatego programu kulturalno-rozrywkowego mogą wybierać w zależności od własnych zainteresowań — wycieczki, koncerty, odczyty itp. Tworzenie korzystnych warunków dla leczenia i odpoczynku odbywa się jednak kosztem zwiększonego wysiłku kierownictwa i całego personelu sanatorium. Placówka cierpi bowiem na ciasnotę, zwłaszcza od czasu, gdy podniesiono liczebność każdego z turnusów do przeszło 200 osób i zwiększono ich ilość do 14 w ciągu roku.

W związku z tym zaistniała konieczność rozbudowy niektórych pomieszczeń, zwłaszcza stołówek mogącej pomieścić zaledwie 150 osób. Bieżący rok jest szczególnie trudny. Sanatorium czynne jest bowiem non-stop; równocześnie trwają rozpoczęte w styczniu prace nad rozbudową sali jadalnej oraz kapitalny remont wnętrz, polegający głównie na wymianie przewodów kanalizacyjnych i wind. Remont zostanie prawdopodobnie zakończony w pierwszym kwartale przyszłego roku. Zamierza się również dokonać częściowo wymiany sprzętu hotelowego — łóżek, szafek nocnych, stolików, radioodbiorników, firanek i chodników.

Nauczyciele, którzy w przyszłym roku przyjadą do sanatorium w Ciechocinku, będą korzystać z leczenia i odpoczynku w warunkach, jeśli jeszcze nie pełnego komfortu, to na pewno o wiele lepszych niż dziś. Zwłaszcza że zadbano także o urządzenie terenów rekreacyjnych i boisk sportowych.

Fot. Czesław Górski

W PRAWDZIE KANDYDATÓW NIE BRAKUJE...

Tegoroczną rekrutację do wyższych uczelni mamy już poza sobą. Opadła gorączka oczekiwania na wyniki.

Dla władz uczelni, dla resortu nadszedł czas podsumowania rezultatów pierwszej, wstępnej oceny przeciętnego poziomu studentów, z którymi w nowym roku akademickim przyjdzie pracować.

Nas, oczywiście, najbardziej interesują tegorocznymi kandydaci na przyszłych nauczycieli. Jak wielu ich się zgłosiło, skąd się

rekrutują, jaki reprezentują poziom, jakie rokoją nadzieje na przyszłość?

Na oceny globalne, w skali całego kraju, jeszcze za wcześnie. Ich dokonanie wymaga czasu. Z naszymi pytaniami zwracamy się więc do rektora Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach — doc. dr. EDMUNDA STASZYŃSKIEGO.

4

CZAS ŻNIW

Polska jest krajem ludzi młodych. Wśród 35,2 mln obywateli naszego kraju — odnotowano tę liczbę w przeddzień jubileuszu 35-lecia PRL — prawie 15 milionów stanowią dzieci i młodzież, w wieku do 24 lat. Troska o zdrowie i pomyślny rozwój młodego pokolenia towarzyszyła naszym działaniom przez całe minione 35-lecie. Młode pokolenie Polaków żyje w dobrych warunkach, jest zdrowe, zadbane, żywe intelektualnie.

Jak wynika z komunikatu GUS, kraj nasz charakteryzuje się rozszerzoną produkcją ludności, o czym decyduje przede wszystkim wieś, gdzie przyrost naturalny jest znacznie wyższy niż w miastach.

A mimo to liczba ludności na wsi systematycznie maleje. Oblicza się, że rocznie migruje do miast 200—250 tys. osób. Samo zjawisko migracji jest w naszych warunkach korzystne — w najbliższych latach przemysł wchłonie kilka milionów nowych pracowników, których miasto mieć nie będzie. Byle tylko migracja ta nie odbywała się kosztem wsi i rolnictwa.

Ze wsi odpływa przede wszystkim młodzież. W różnych rejonach różnie jest tej migracji nasilenie. Wieś coraz bardziej się starzeje. Wielu rolników, nie mając następcy, przekazuje gospodarstwo państwu w zamian za rentę. Zainteresowanie jest duże, skoro tylko w ciągu minionego roku odsetek emerytur i rent dla rolników indywidualnych zwiększył się o 44,2 proc.

Rolnictwo nasze, zwłaszcza indywidualne, potrzebuje rocznie zastrzyku w postaci wykwalifikowanej, chętnej do pracy w tym środowisku kadry. Ludzi młodych, którzy swój entuzjazm poparliby nowymi metodami pracy.

Bo też dziś bardziej niż kiedykolwiek rolnictwo wymaga zdwojonej koncentracji sił i środków. Niekorzystne tegoroczne warunki atmosferyczne rzutować będą na wysokość plonów, zwłaszcza zbóż. Trzeba się zatem spieszyć ze zniwami, aby zdążyć z zasiewem poplonów. Jest bowiem oczywiste, że o powodzeniu zamierzeń w rolnictwie i całej gospodarce żywnościowej decyduwać będzie przede wszystkim pomyślne rozwiązanie problemu paszowego.

Sprawy te były w ostatnich dniach lipca przedmiotem wnikliwych analiz. W Łomży z aktywnym rolnictwa i przemysłu spożywczego województw północno-wschodnich spotkał się członek Biura Politycznego KC PZPR, premier Piotr Jaroszewicz; spotkanie poświęcone było realizacji postanowień XV Plenum KC PZPR. Podobna narada pod przewodnictwem członka Biura Politycznego KC PZPR, sekretarza KC — Edwarda Babiucha odbyła się w Lesznie dla aktywnych województw. W ich wyniku podjęto wiele działań przyspieszających tempo prac polowych.

27 lipca sprawy rolnictwa znalazły się w centrum uwagi na posiedzeniu Rady Ministrów. Na czoło wszystkich problemów wokół których koncentrować się będzie uwaga wszystkich organizacji gospodarczych w najbliższych miesiącach, wysunięto problemy żywienia narodu.

Na dzień dzisiejszy sprawą najważniejszą jest więc sprawne przeprowadzenie żniw, bez opóźnień i strat. Do pełnej gotowości wezwano instytucje i organizacje związane z rolnictwem. W każdej gminie i województwie cały miejscowy aktyw powinien dołożyć starań, aby wydrzeć ziemi wszystko, co dać ona może.

Ten apel odnosi się także do nas, wychowawców. Uczestnictwo w żniwnej batalii o chleb możemy najtrwalej zaznaczyć poprzez swoich uczniów. Od lat młodzież masowo uczestniczy w akcji „Każdy kłós na wagę złota”. Dość popularna jest pomoc niesiona rolnikom w starszym wieku, wdowom i tym wszystkim, którzy nie nadążają ze zbiorów plonów.

Podobnych form pomocy o masowym charakterze może być więcej i dotyczyć wielu innych dziedzin produkcji. Rzecz w tym, aby przekonać młodzież, że jej choćby najskromniejszy udział w pracach polowych liczy się w ogólnym bilansie, że przynosi krajowi konkretne, wymierne korzyści. Że ceni się wysoko. Że w tym właśnie wyraża się stosunek młodych do Ojczyzny. Zrozumieć to nie trudno, rzecz w tym, aby wprowadzić w czyn. W tym właśnie jest nasza, wychowawców, rola.

Do tematów sezonowych, związanych nierozłącznie z feriami, należą w środowisku nauczycielskim dyżury szkolne. Od lat sprawa ta powoduje wiele kontrowersji, budzi niemało irytacji. W czym rzecz?

Jak wiadomo, ferie szkolne są jednocześnie okresem urlopu nauczyciela, a więc czasem, który pedagog może spożytkować wedle swej woli i zainteresowań. Gwarantuje mu to Karta Praw i Obowiązków Nauczyciela. I nie bez racji. Wypoczynek, a jeśli zajęcia to zgodne z upodobaniami, z daleka od warsztatu pracy — pozwalają na pełny relaks, nabranie oddechu, wzbogacenie własnej osobowości. A z tego oczywiście korzyść dla nauczyciela, ale i dla szkoły.

No tak, lecz jednocześnie Karta pozwala zatrudnić nauczyciela w czasie ferii, na okres do 15 dni w ciągu całego roku, między innymi przy pełnieniu dyżurów w szkole. Przepis ustanowiony po to, by w razie istotnej potrzeby móc zapewnić szkole obecnie przedstawiciela grona pedagogicznego. I wszystko byłoby w porządku, gdyby wszędzie tak właśnie odczytywano intencję ustawodawcy. Gdyby sprawę brano na zdrowy rozum.

Rzecz w tym, że w niektórych szkołach z owej możliwości zlecenia nauczycielowi dyżuru korzysta się niekiedy zbyt pochopnie, jakby hołdując zasadzie: skoro można zatrudnić, znaczy — bezwzględnie trzeba; skoro nie na dłużej niż na 15 dni — znaczy ani dnia krócej.

Czy rzeczywiście zawsze to wartowa-

NASZYM ZDANIEM

NA ZDROWY ROZUM

nie w szkołach jest w pełni uzasadnione i celowe? Można mieć co do tego poważne wątpliwości. Czy jest bowiem sens w małej wiejskiej szkole zasadzać nauczyciela non-stop przez całe ferie przy telefonie, który — co z góry jest do przewidzenia — „mleczy”? Czy nie wystarczyłyby dyżury w okresie, kiedy naprawdę jest coś do roboty i kiedy można spodziewać się interesantów, a więc tuż po zakończeniu starego i przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego? Co innego w dużej placówce, np. w gminnej szkole zbiorowej. Tam na pewno obecność kogoś z rady pedagogicznej jest potrzebna. Ale tam przecież zespół liczy na ogół kilkunastu — jeśli nie więcej — nauczycieli; a dyrektor ma z reguły zastępców. Wakacje zaś trwają niewiele ponad dwa miesiące. Więc jak by nie liczył, wypadnie na jedną osobę najwyżej po kilka dni. Po co więc nękać ludzi „dwutygodniówkami”?

Podjęliśmy już ten problem w ubiegłych latach, wskazując na zbyt bezrefleksyjnie podchodzenie do nauczycielskiego czasu. Pisaliśmy także o przy-

padkach zatrudniania pedagogów — w ramach dwutygodniowego dyżuru — nawet przy pracach nie związanych ze szkołą, na przykład przy spisie... rolnym.

W tym roku sygnałów w sprawie nadmiernego — to jest ponad istotną potrzebę — zajmowania nauczycielom wakacyjnych dni jest mniej. Ale jednak są. Dlatego raz jeszcze wracamy do sprawy. Wprawdzie bowiem wakacje mają się ku końcowi i niedługo rzecz przyczynie, ale przecież czekają nas następne. Warto więc na spokojnie kwestię przeanalizować, po to, by wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Należałoby taką analizę przeprowadzić we wszystkich szkołach, w których odbywały się dyżury: czy i w jakich okresach okazały się one naprawdę przydatne, a gdzie i kiedy rzecz sprowadzała się do beznadziejnego podpierania czterech pustych ścian. Nie od rzeczy byłoby wglądnięcie władz szkolnych w sposób gospodarowania nauczycielskim czasem w okresie ferii. Piękne pole do popisu mają tu i rady zakładowe ZNP.

A sprawa to niebagatelna. I to z dwóch względów. Po pierwsze: czas nauczyciela — także i ten wolny — jest wartością zbyt cenną, aby nim pochopnie, bez potrzeby szafować. Po drugie dlatego, że nie ludzi bardziej nie zmniejsza, nie denerwuje i nie rozgorycza, niż świadomość, że wydatkowany przez nich czas jest właściwie stracony, bo nikomu nie przynosi żadnego pożytku. A przysparzanie nauczycielom powodów do irytacji nie służy niczemu dobremu.

Z PRAC MINISTERSTWA OŚWIATY I WYCHOWANIA

● 18 lipca br. odbyło się w Warszawie wspólne posiedzenie prezydium kolegiów: Ministerstwa Oświaty i Wychowania oraz Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki na temat aktualnego stanu kształcenia, dokształcania i doskonalenia nauczycieli w szkołach wyższych oraz w Instytucie Kształcenia Nauczycieli.

W czasie obrad oceniono zarówno wyniki ilościowe, jak i osiągnięcia jakościowe w zakresie kształcenia i dokształcania nauczycieli oraz ustalenie kierunki działania szkół wyższych i zainteresowanych resortów zmierzające do dalszego podniesienia poziomu przygotowania studentów kierunków i specjalności nauczycielskich. Problematyka ta stanowi — począwszy od 1973 roku — stały przedmiot zainteresowania najwyższych władz politycznych i państwowych.

W chwili obecnej szkoły wyższe koncentrują swoją uwagę przede wszystkim na usprawnianiu i pogłębianiu przygotowania pedagogicznego studentów kierunków i specjalności nauczycielskich, m.in. poprzez doskonalenie treści praktyk pedagogicznych, przy-

odpowiedniej rozbudowie sieci szkół ćwiczeń.

W posiedzeniu prezydium kolegiów udział wzięli: członek Biura Politycznego KC PZPR, minister oświaty i wychowania — Józef Tejcma, minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki — Janusz Górski, zastępca kierownika Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — Władysław Kata oraz prezes ZG ZNP — Bolesław Grześ.

● W okresie wakacji letnich zorganizowano na terenie Warszawy kolonie dla około 30 tys. dzieci, głównie ze środowiska wiejskiego. W programie wypoczynku przewidziano m.in. zwiedzanie stolicy, udział w spektaklach teatralnych, spotkania z kombatantami, imprezy sportowe.

24 lipca br. członek Biura Politycznego KC PZPR, minister oświaty i wychowania, Józef Tejcma odwiedził zlokalizowane na terenie dzielnicy Żoliborz kolonie Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mleczarskich z Łodzi i Ośrodka Hodowli Zarodowej z Pasłęka.

● Wiceminister oświaty i wychowania — Romuald Jezierski spotkał się z grupą uczestników VII Międzynarodowego Forum Wymian Doświadczeń Instruktorów — wychowawców.

Forum odbywało się pod hasłem „Dzieciom uśmiech — światu pokój” a poświęcone było problemom pracy organizacji młodzieżowych w kra-

jach socjalistycznych i zachodnich działających na rzecz dzieci specjalnej troski.

Obrady VIII Forum trwały w Oleśnicy od 1 do 17 lipca br.

W spotkaniu w Ministerstwie Oświaty i Wychowania udział wzięli przedstawiciele Głównej Kwatery ZHP: Maria Lyczko, kierownik Wydziału „Nieprzetartego Szlaku” i Jacek Korzycki, kierownik Wydziału Wychowania Internacjonalistycznego KG ZHP.

● Na stanowisko wicekuratora oświaty i wychowania w Bielsku-Białej został powołany z dniem 1 lipca br. mgr Józef Bączek — dotychczasowy inspektor oświaty i wychowania w Cieszyźnie.

Na stanowisko inspektora oświaty i wychowania zostali powołani: w Cieszyźnie — mgr Joachim Kałuża, w Rzeszowie — mgr Stefan Kozdraś, w Łomży — mgr Mikołaj Jednacz, w Mińsku Mazowieckim — mgr Franciszek Witke, w Środzie Wlkp. — mgr Jerzy Wawrzyńczak.

Z dniem 31 lipca br. na własną prośbę został odwołany ze stanowiska wicekuratora oświaty i wychowania w Elblągu mgr Józef Klimke.

Ze stanowiska inspektora oświaty i wychowania na własną prośbę zostali odwołani: mgr Adam Słowik w Nowym Sączu, mgr Stanisław Pląder w Bochni, mgr Józef Kanik w Rzeszowie, mgr Aleksandra Klimaszewska w Łomży, mgr Bogusław Jankowiak w Środzie Wlkp.

Natomiast kandydaci, którzy w lipcu nie zostali przyjęci, mimo pozytywnie zdanego egzaminu wstępnego, a ubiegają się o przyjęcie na ten sam kierunek studiów w innej uczelni lub inny kierunek, na którym obowiązują egzaminy z tych samych przedmiotów — nie muszą zdawać повторно egzaminu wstępnego. Jeśli jednak zdecydowali się na ponowne składanie egzaminu (ze wszystkich lub niektórych przedmiotów), wówczas liczyć się będą wyniki uzyskane we wrześniu. Ci kandydaci, którzy w lipcu zdali pozytywnie egzamin wstępny na kierunek, na którym obowiązują egzaminy z innych przedmiotów, zobowiązani są do złożenia egzaminu wstępnego z przedmiotu, którego nie zaliczali podczas egzaminów lipcowych.

Natomiast nie muszą ponownie składać egzaminu z przedmiotu, który pozytywnie zaliczyli w lipcu, gdyby jednak podjęli taką decyzję do końcowej kwalifikacji brana będzie pod uwagę ocena uzyskana we wrześniu.

Ogółem we wrześniu uczelnie mogą przyjąć około 1800 kandydatów. Podania o przyjęcie i odpowiednie dokumenty zainteresowani mogą składać w wymienionych wyżej uczelniach do 10 września 1973 r.

● Po raz czternasty rozstrzygnięty został konkurs im. Aleksandra Zawadzkiego na najlepsze prace habilitacyjne, doktorskie i magisterskie, których tematyka dotyczy dzieł narodu polskiego i walk narodowowyzwoleńczych w latach 1939—1945, kształtowania i umacniania obronności PRL, powstawania i utrwalania władzy

GRATULUJEMY

Uchwałą Rady Państwa odznaczono zostały w 35 rocznicę Polskiej Ludowej — za wkład w jej gospodarczy, społeczny i kulturalny rozwój — następujące uczelnie, szkoły i placówki.

Orderem Sztandaru Pracy I klasy — Akademia Rolnicza w Poznaniu; Akademia Wychowania Fizycznego im. gen. Karola Świerczewskiego w Warszawie; Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Powstańców Śląskich w Opolu.

Krzyżem Kawalerskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski — Liceum Ogólnokształcące im. Marszałka Stanisława Małachowskiego w Pocku.

Orderem Sztandaru Pracy II klasy — Akademia Rolnicza w Lublinie; Politechnika Częstochowska; Pałac Młodzieży im. Bolesława Bieruta w Katowicach.

Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski — Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica w Sosnowcu; Zespół Szkół Ogólnokształcących im. Stefana Żeromskiego w Kwidzynie.

Sekretariat Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego tą drogą składa organizacjom związkowym, kierownikom i wszystkim pracownikom odznaczonych placówek najserdeczniejsze gratulacje wraz z życzeniami dalszych osiągnięć i satysfakcji osobistej w kształceniu i wychowywaniu młodzieży dla dobra naszej Ojczyzny.

ludowej, procesów przemian socjalistycznych i rozwoju kraju oraz ruchu kombatanckiego w Polsce Ludowej.

Jury konkursu, które obradowało pod przewodnictwem wiceministra NSZ Wit — prof. Stanisława Czajki, przyznało 57 nagród i wyróżnień. W grupie prac habilitacyjnych laureatem pierwszej nagrody został Zdzisław Miśtal z Uniwersytetu Gdańskiego.

Trzy równorzędne pierwsze nagrody w grupie prac doktorskich uzyskali: Maria Krzywdą z Uniwersytetu Śląskiego, Borys Borysiuk i Wacław Raczkowski — z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR. W grupie prac magisterskich pierwsze nagrody otrzymali: Kazimierz Leonard Conkała z Uniwersytetu Warszawskiego, Jerzy Sawczuk z Uniwersytetu Gdańskiego, Barbara Kot z WSP w Krakowie, Andrzej Kisiel i Lucjan Sadowski z Wojskowej Akademii Politycznej, Jerzy Kiryński z Akademii Spraw Wewnętrznych.

Na uroczystym spotkaniu w dniu 2 lipca, nagrody laureatom wręczyli: minister NSZ Wit — prof. Janusz Górski, minister ds. Kombatantów — Mieczysław Grudziński, wiceminister obrony narodowej — gen. broni Józef Urbanowicz.

W uroczystości wzięli udział: kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — prof. Jarema Maciszewski, prezes ZG ZBOWID — Stanisław Wróński, wiceminister obrony narodowej, szef Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego — gen. broni Włodzisław Sawczuk.

Z PRAC MINISTERSTWA NAUKI, SZKOLNICTWA WYŻSZEGO I TECHNIKI

Gdańska (Wydział w Elblągu) i Wrocławską. Przy czym kandydaci na Politechnikę Gdańską zdawać będą egzaminy w WSI w Koszalinie i tam też powinni składać dokumenty, natomiast Politechnika Wrocławska przyjmować będzie tylko kandydatów z województw: wrocławskiego, legnickiego, wałbrzyskiego i jeleniogórskiego.

Poza tym odbędą się jeszcze egzaminy na transport w WSI w Radomiu i na budownictwo w Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy.

O przyjęcie na I rok studiów dziennych we wrześniu, w wymienionych wyżej uczelniach starać się mogą kandydaci, którzy nie przystępowali do egzaminów wstępnych w lipcu br. Jak również ci, którzy w lipcu nie uzyskali wyników pozytywnych. Te grupy kandydatów obowiązują zdawanie egzaminów ze wszystkich przedmiotów.

● 13 września br. odbędą się dodatkowe egzaminy wstępne w uczelniach na kierunki studiów, na których — po zakończonych w lipcu egzaminach — zostały jeszcze wolne miejsca.

I tak, na matematykę egzaminy we wrześniu przeprowadzą — uniwersytety: Jagielloński, M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie, A. Mickiewicza w Poznaniu, B. Bieruta we Wrocławiu, Śląski w Katowicach, M. Kopernika w Toruniu, Łódzki oraz Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Również na matematykę przyjmować będą wyższe szkoły pedagogiczne w Krakowie, Rzeszowie, Szczecinie oraz Wyższa Szkoła Rolniczo-Pedagogiczna w Siedlcach.

O przyjęcia na fizykę ubiegać się mogą kandydaci w uniwersytetach: Jagiellońskim, M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie, A. Mickiewicza w Poznaniu, B. Bieruta we Wrocławiu, Śląskim w Katowicach, M. Kopernika w Toruniu, Łódzkim, Gdańskim, Filii UW w Białymstoku oraz w WSP w Krakowie, Częstochowie, Olsztynie, Opolu, Rzeszowie, Słupsku, Szczecinie, Zielonej Górze.

Kandydaci na wychowanie techniczne będą mogli zdawać egzaminy w uniwersytecie: M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Śląskim w Katowicach, Filii UW w Białymstoku i w WSP w Krakowie, Szczecinie, Zielonej Górze; a na informatykę w Uniwersytecie Jagiellońskim oraz B. Bieruta we Wrocławiu.

Na mechanikę przyjmować będą jeszcze: Wyższa Szkoła Inżynierska w Koszalinie, Akademia Techniczno-Rolnicza w Bydgoszczy oraz politechniki: Szczecińska,

DLA SIEBIE DLA KRAJU



Fot. Cz. Górski

„Ja, Junak Ochotniczych Hufców Pracy Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej — ślubuję Polsce Ludowej, Ojczyźnie mojej, (...) pracować lepiej i sumiennie, uczyć się więcej i wytrwalej, być zdyscyplinowanym i uczciwym, (...) umacniać ludową obronność, mężnie stać na straży suwerenności i niepodległości Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej...”

TO JUŻ TYŁE I.A.T...

W tym roku słowa ślubowania rozbrzmiewają na obozach i zgrupowaniach junackich już po raz dwudziesty pierwszy. Tyle bowiem minęło lat od chwili, kiedy w czerwcu 1958 roku powołane zostały z inicjatywy Związku Młodzieży Socjalistycznej — Ochotnicze Hufce Pracy. Początkowo wzorowały się na Batalionach Odbudowy Stolicy oraz brygadach Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”. Stopniowo wypracowywały własne metody działania.

W treści junackiej przysięgi zawierają się najistotniejsze cele tej organizacji, a więc po pierwsze — wychowanie przez pracę, umożliwienie zdobywania kwalifikacji zawodowych oraz uzyskania zatrudnienia, a także jako trzeci element — przeszkolenie wojskowe i ćwiczenie sprawności fizycznej.

Pod koniec lat pięćdziesiątych wiele tysięcy młodych ludzi pozostawało poza szkołą i zakładem pracy. Corocznie około 10 proc. młodzieży w wieku 16—17 lat nie uczyło się i nie pracowało. Wielu kończyło edukację na kilku klasach szkoły podstawowej. Trzeba więc było coś z tą armią ludzi począć, tym bardziej że kraj, powstający niemal od podstaw gospodarka potrzebowała wielu rąk do pracy. Ochotnicze Hufce Pracy stały się dla tych młodych ludzi ogromną życiową szansą.

Na pierwszym w kraju hufcu, utworzonym w lipcu 1958 roku w Rzępadzi w Bieszczadach, młodzież pracowała przy budowie drogi i kolejki leśnej. Wytyczali wówczas pierwsze bieszczadzkie trasy. Ich pracę na tym terenie kontynuują teraz harcerze w ramach akcji „Bieszczady 40”. W tymże roku powstały jeszcze dwa hufce stacjonarne. Łącznie wszystkie trzy zgrupowały 1200 junaków.

Wraz z upływem lat zmieniał się zakres i formy działania. Zawsze jednak odpowiadały one aktualnemu zapotrzebowaniu gospodarki kraju. Także społeczeństwo coraz bardziej interesowało się tą formą wychowania. Stale też wzrastała liczba zorgani-

zowanej młodzieży. Widoczne już były konkretne korzyści — natury ekonomicznej i wychowawczej.

W latach sześćdziesiątych junacy stacjonarnych OHP uczestniczyli w budowie wielu ważnych dla gospodarki narodowej obiektów, m.in. Zakładów Azotowych w Kędzierzynie, Zakładów Rafineryjnych w Płocku. Początek lat siedemdziesiątych wyznacza zadania na rzecz resortu budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych. Ostatnio junacy zatrudniani są przede wszystkim w budownictwie mieszkaniowym i rolniczym. M.in. duża grupa młodych ludzi w niebieskich mundurach pracuje w przedsiębiorstwach budowlanych Zjednoczenia „Warszawa” — pomaga przy budowie wielkich stołecznych osiedli Ursynowa-Natolina, Służewca, Legionowa. W blisko 480 hufcach stacjonarnych działa prawie 48 tysięcy junaków, a w 148 hufcach dla młodzieży dochodzącej około 9 tysięcy osób. Najwięcej, bo aż 22 560 junaków w 200 hufcach pracuje w resorcie budownictwa, ponad 8 tysięcy młodzieży — w rolnictwie.

NA WYBRZEŻU

W lipcu odwiedziłam hufiec 9—6 OHP w Gdańsku—Złotej Karczmi pracujący na rzecz Wojewódzkiego Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego. Jest to największy, stacjonarny hufiec OHP w woj. gdańskim. Liczy ponad 600 junaków. Wartość czynów społecznych zrealizowanych przez nich w bieżącym roku wyniosła ponad 74 560 tys. złotych. Wnieśli swój wkład — w kwocie 40 tys. złotych, w budowę „Daru Młodzieży”, oddali 50 litrów krwi na Centrum Zdrowia Dziecka, współpracując przy budowie miejskiej pętli autobusowej w Złotej Karczmie i boisk sportowych wokół rejonu zakwaterowania. Z okazji obchodów Międzynarodowego Roku Dziecka gdańskie OHP objęły patronaty nad przedszkolami i Domami Dziecka.

Tak więc OHP, to tysiące młodych dziewcząt i chłopców. Młodzieży, która z różnych względów nie mogła lub nie chciała zdobyć zawodu drogą normalnej edukacji, stworzono możliwość znalezienia sobie miejsca w życiu. Dla niektórych z nich hufiec jest przez dwa lata domem, szkołą i zakładem pracy. Byłoby dobrze, gdyby mogli czuć się w nim jak w prawdziwym domu rodzinnym, by po ukończeniu nauki chcieli pozostać w przedsiębiorstwie, w którym pracowali, będąc w hufcu.

Czym kierują się dzisiaj przy wstępowaniu do OHP? Najczęściej swoją decyzję uzasadniają potrzebą zdobycia zawodu,

chłopcy możliwością odbycia zasadniczej służby wojskowej (zaoszczędzają dwa lata) oraz złymi warunkami domowymi i koniecznością materialnej pomocy rodzinie. Największa grupa członków OHP pochodzi ze środowiska wiejskiego, z rodzin wieloosobowych. Niewielki jest procent młodzieży opuszczającej hufiec przed ukończeniem nauki, natomiast spora grupa zmienia hufce, nie mogąc zdecydować się na wybór określonego zawodu. Wielu absolwentów wraca w rodzinne strony, chociaż pozostając w przedsiębiorstwie, miałyby niejednokrotnie większe zarobki i perspektywę szybszego otrzymania własnego locum. Wydaje mi się, że o pozostaniu młodego człowieka w zakładzie decydują przede wszystkim pierwsze dni pracy i nauki — to, w jaki sposób został przyjęty i jacy ludzie sprawowali nad nim pieczę. Wiele bowiem zależy od kadry wychowawców i opiekunów zakładowych, od tego, czy potrafią zainteresować rodzajem wykonywanych czynności, przekazać właściwe wzorce pracy.

Podczas lipcowej wędrowki po nadmorskich hufcach wstąpiłem do Malborka. W Domu Młodego Robotnika mieszka w tym roku 108 junaków. Szkołą się w zawodach: elektromontera, stolarza-cieśli, monter instalacji budowlanych. W celu uatrakcyjnienia zajęć zorganizowano dla wszystkich chętnych samochodowy kurs prawa jazdy. Wzbudził on żywe zainteresowanie młodzieży, tym bardziej że 50 proc. kosztów pokrywa Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego, na rzecz którego junacy pracują.

Chłopcy mieszkają w pokojach dwu- i trzyosobowych. Pokoiki małe, ale sympatyczne, choć przydałyby się w nich małe lampki dla „nocnych marków”, no i marzą im się jeszcze radia. Malborski hufiec dysponuje dobrym zapleczem socjalnym, przychodnią lekarską, kioskiem i bufetem. Jest kort tenisowy, boisko do siatkówki, ścieżka ze znakami drogowymi, w świetlicy — telewizor. Autokarami przedsiębiorstwa junacy dowożeni są na budowy i z powrotem. W czasie ferii letnich i zimowych uczestniczą w obozach i zimowiskach, np. ostatnio w Bierutowicach. Obecnie kilkunastu junaków hufca stacjonarnego wypoczywa wspólnie z harcerzami na obozie w Lipuszu koło Kościerzyny. Każdy junak, opuszczający hufiec, legitymuje się świadectwem podstawowego studium zawodowego lub szkoły zawodowej. Wszyscy mają możliwość zdobycia drugiego zawodu bądź ukończenia kursu specjalistycznego.

NA INDEKS MOŻNA ZAPRACOWAĆ

Innowacją lat siedemdziesiątych było powstanie hufców dla kandydatów na studia wyższe. Tym, którzy po zdaniu egzaminu wstępnego nie dostali się na uczelnię, zaproponowano możliwość zapracowania sobie na legitymację studencką. W akcję tą zaangażowały się przede wszystkim uczelnie rolnicze, ale staje się ona coraz bardziej popularna także w innych typach szkół. Obecnie stara się o hufce resort zdrowia. Nie wszędzie jest to taka prosta sprawa — jeśli bowiem hufce te mają przynosić konkretne korzyści — musi być zagwarantowane odpowiednie zaplecze. Najlepszym rozwiązaniem byłoby, aby kandydaci na studia rolnicze pracowali w gospodarstwach, na politechnikę — w zakładach produkcyjnych, laboratoriach. Chodzi przecież także i o to, aby w ciągu tego roku młodzież w konkretnej pracy mogła jeszcze raz przeanalizować swoją decyzję wyboru określonego kierunku studiów.

Na letnich hufcach wakacyjnych pracują tysiące uczniów i studentów. Pracę zarobkową łączą z wypoczynkiem. Zatrudniani są głównie w gospodarce żywnościowej, rolnictwie, przemyśle spożywczym i przetwórczym, handlu, komunikacji i usługach. Samodzielnie zdobywają fundusze na resztę wakacji, a przy tym poznają różne regiony Polski i nie tylko. Także inne kraje. Idealem byłoby, aby każdy uczeń szkoły średniej choć jeden raz w trakcie nauki wziął udział w wakacyjnym OHP, by poznać trud pracy fizycznej i nabrał dla niej szacunku. Aby — nawet dość ciężko pracując, bez codziennych wygod, za to samodzielnie — mógł sprawdzić sam siebie.

NIE SAMĄ PRACĄ...

Młodym jednak nie wystarczy tylko praca, nauka i szkolenie obronne — chociaż w hufcach stacjonarnych te zajęcia zajmują im bardzo dużo czasu. Wszystkie hufce prowadzą więc bogatą działalność kulturalno-oświatową i sportowo-turystyczną. Do najbardziej popularnych imprez o zasięgu ogólnokrajowym należą: Ogólnopolska Wiosna Kulturalna OHP, Turniej Szachowy o „Platynową Szachownicę”, igrzyska letnie i zimowe, rajd wiosenny, spartakiada sportów obronnych.

Na brak atrakcji nie można więc narzekać. Junacy prezentują całoroczny dorobek swoich zespołów muzycznych i recytatorskich, organizują pokazy malarstwa, grafiki, plakatu i fotografii. Niezmiennie ogromnym powodzeniem cieszą się tradycyjne dyskoteki, przyjeżdża kino letnie.

Podczas mojego pobytu w Elblągu odbywało się właśnie w Internacie Zasadniczej Szkoły Budowlanej dla Pracujących im. Mikołaja Kopernika podsumowanie dwutygodniowych zmagani sportowych kilku hufców wakacyjnych z południa Polski. Rozgrywano zawody w piłce siatkowej, ręcznej i nożnej oraz w tenisie stołowym. Zwycięskie zespoły otrzymały pamiątkowe puchary i dyplomy, a wszystkie dyplomy za uczestnictwo.

★

Pobyt w hufcu dla junaków jest doskonałą szkołą wyrabiania postaw obywatelskich i umiejętności współżycia w kolektywie, a dla przedsiębiorstwa podstawowym często źródłem dobrych, zaaklimatyzowanych już kadr. Korzyści są więc obopólne — mówiono na lipcowym spotkaniu dziennikarzy z władzami woj. elbląskiego i gdańskiego zorganizowanym przez Komendę Główną i komendy wojewódzkie OHP w Elblągu i Gdańsku oraz Klub Publicystów Oświatowo-Wychowawczych SDP. I nie są to słowa bez pokrycia.

HALINA SZYMCAK

ŚWIAT



DLACZEGO WYBIERAJĄ TUŁACZKĘ

Mowa jest o uchodźcach indochińskich, których los stał się ostatnio przedmiotem zainteresowania opinii światowej. Według ocen wietnamskich około 350 tys. osób znajduje się w obozach dla uchodźców w różnych państwach Azji południowo-wschodniej. Agencja Reutersa operuje nawet liczbą 400 tys., wymieniając jako miejsca pobytu najsilniejszych grup uchodźców — USA, Tajlandię, Indonezję, Malezję, Hongkong. Ten exodus powoduje różne napięcia w owych krajach i doprowadza do dramatycznych sytuacji, jak to miało miejsce u wybrzeży Malezji, gdzie odpendzono na pełni morze łódzie i gale statki z 15 tys. ludzi.

Kim oni są i dlaczego wybrali tułaczkę? Są to głównie mieszkańcy południowego Wietnamu (także Kampuczei i Laosu). Są wśród nich zwykli uciekinierzy szukający schronienia przed wymiarem sprawiedliwości za czyny popełnione w czasie amerykańskiej interwencji w Wietnamie, są byli dyktatorze reżimu sąjgońskiego, spekulanci itp. Większość jednak stanowią ludzie, których do opuszczenia Socjalistycznej Republiki Wietnamu skłoniły inne przyczyny, choć też pozostające w związku z trudną historią tego kraju w ostatnich latach. Prasa wietnam-

ska wśród źródeł tego problemu wymienia trudną sytuację społeczno-gospodarczą w południowym Wietnamie, jaka jest spuścizną lat wojny, trudności ekonomiczne, ograniczenie zagranicznej pomocy gospodarczej. Ale wiadomo przecież, że znaczna liczba uciekinierów zdecydowała się na opuszczenie swych domów pod wpływem wrogiej współpracy z Chinami propagandy. Przypomnijmy o podjętej przez Chińską Republikę Ludową w ubiegłym roku akcji szerzenia paniki wśród ludności Hoa (Wietnamczyków pochodzenia chińskiego lub Chińczyków mieszkających w Wietnamie), nakłaniania do nielegalnej emigracji, której zresztą później i dziś ChRL nie chce przyjąć do siebie. Późniejsza inwazja Chin na Wietnam pogłębiła jeszcze nastroje strachu przed rzezią prześladowaniami. Przypomnijmy, że i Stany Zjednoczone znajdują swój duży interes w trudnościach wietnamskich, w kompromitowaniu tego państwa w celu izolowania go od innych państw indochińskich w obawie o rozprzestrzenienie się komunizmu.

Nietrudno więc odkryć prawdziwe intencje ChRL i USA w działaniach propagandowych zmierzających do szerzenia paniki, do tłumienia mieszkańców południowego Wiet-

namu i tak już utrudzonych warunkami wojennego życia. Metody tych działań ujawnił m.in. niedawny proces grupy kierowanej przez byłego oficera armii sąjgońskiej, grupy, która organizowała nielegalne wyjazdy obywateli wietnamskich z kraju. Uciekinierzy wyposażeni byli w dokumenty pewnej amerykańskiej organizacji charytatywnej. Tyle, że były to dokumenty fałszywe, podobnie jak i gwarancje o rzekomym zapewnieniu pracy i egzystencji po przyjeździe do USA.

Za tymi machinacjami kryją się wstrząsające dramaty ludzi, którzy wybrali lub mają wybrać tułaczkę i los ich nie może być obojętny światowej opinii. Ich sytuacja jest przede wszystkim przedmiotem troski władz Socjalistycznej Republiki Wietnamu.

30 maja rząd SRW zawarł porozumienie z Wysokim Komisarzatem ONZ d.s. Uchodźców (UNHCR) dotyczące rozwiązania problemu uciekinierów. Rząd SRW zobowiązał się zezwalać na emigrację 10 tysiącom osób miesięcznie na podstawie wniosków o łączenie rodzin lub umożliwienie stałego zamieszkania za granicą ze względu na niekorzystne warunki materialne.

Chodzi jednak o to, by ludzie ci mieli dokąd emigrować i by po wyjeździe nie byli skazani na tułaczkę. Chodzi też o to, by szukać autentycznego rozwiązania problemu, a nie by zgoda SRW stała się pretekstem dla oszczerstw ze strony państw nieprzyjacielskich Wietnamowi i pragnących wykorzystać zaistniałe trudności do celów politycznych.

W tych okolicznościach doszło do zwolania w Genewie konferencji w sprawie uchodźców indochińskich, a w praktyce emigracji z Wietnamu, bowiem nie uczestniczyli w

obradach przedstawiciele Kampuczei i Laosu. W dniach 20 i 21 lipca przedstawiciele 65 państw i wielu organizacji międzynarodowych poszukiwali rozwiązania kwestii uchodźców, wypracowując program działań w oparciu o zawarte wcześniej porozumienie między rządem SRW i UNHCR. Program ten przedstawiał na zakończenie obrad sekretarz generalny ONZ, Kurt Waldheim i zawarł go w pięciu punktach: 1) zredukowanie ogólnej liczby emigrantów, 2) rozszerzenie porozumienia SRW — UNHCR, 3) utworzenie ośrodków tymczasowego pobytu uchodźców, 4) zorganizowanie akcji ratowania uchodźców znajdujących się w obozach na terytorium Tajlandii. Konferencja doprowadziła też do podjęcia zobowiązań ze stron różnych krajów w sprawie pomocy finansowej i wyznaczenia miejsca pod ośrodki przesiedleńcze.

Czy zostaną zapewnione w tej drodze warunki zorganizowanego i bezpiecznego wyjazdu tych osób, które zechcą opuścić Wietnam, będzie zależało od wielu czynników. Ważne są nie tylko obozy przesiedleńcze, lecz przede wszystkim opanowanie masowych, nielegalnych wyjazdów, co zależy nie tylko od władz wietnamskich.

Dalszy rozwój wydarzeń będzie pilnie śledzony przez światową opinię. A sam Kurt Waldheim zamierza przedstawić sprawozdanie na ich temat na sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych.

WIESŁAW KODYM



WPRAWDZIE KANDYDATÓW NIE BRAKUJE...

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

ROZMOWA Z DOC. DREM EDMUNDEM STASZYŃSKIM, REKTOREM WSP W KIELCACH

RED.: — Panie Rektorze, zanim przejdziemy do szczegółów, a ściślej do oceny poziomu tegorocznych kandydatów, ich pedagogicznych predyspozycji i innych spraw dotyczących jakości, kilka słów o ilości. Mówiąc inaczej: czy limity na wszystkich kierunkach zostały wypełnione, ilu chętnych ubiegało się o jedno miejsce i jak się to rozkładało z punktu widzenia poszczególnych kierunków kształcenia?

REKTOR: — Ano właśnie, limity. Na wstępie muszę powiedzieć, że na tym odcinku notujemy wyraźny regres. W porównaniu z latami 1973—1976 we wszystkich uczelniach na kierunkach nauczycielskich limity uległy dość wyraźnemu obniżeniu. Wystarczy powiedzieć, że o ile we wspomnianych latach do wszystkich WSP przyjmowano około 7 tys. kandydatów, to obecnie można ich przyjąć tylko 4 tys. Nasza uczelnia, proporcjonalnie, zmniejszyła liczbę miejsc na pierwszym roku o jedną trzecią: z 660 do 400. To duży spadek.

RED.: — Jak wytłumaczyć to zjawisko w świetle ustawicznych braków kadrowych, jakie odczuwa szkolnictwo, zwłaszcza na wsi i w świetle wciąż jeszcze istniejących przypadków zatrudniania w oświacie ludzi bez kwalifikacji pedagogicznych?

REKTOR: — Było to spowodowane sytuacją zaistniałą przed dwoma laty, kiedy to oświatę zasilila spora liczba absolwentów z różnego typu uczelni i szkół pedagogicznych. W jednym bowiem roku do pracy w szkolnictwie zgłosili się jednocześnie pierwsi absolwenci czteroletnich studiów magisterskich, ostatnia grupa absolwentów studiów pięcioletnich, które kończyli swój żywot, absolwenci studiów magisterskich drugiego stopnia, a także ci, którzy ukończyli — również zamykające swa działalność — wyższe szkoły nauczycielskie. Ogółem 16 tys. absolwentów, z którymi oświata nie bardzo miała co zrobić. Wtedy to podniosły się głosy o nadprodukcji nauczycieli. I chociaż już w latach następnych wszyscy chętni znajdują zatrudnienie w oświacie, przekonanie o nadprodukcji pedagogów zdołało się utrwalić, co w konsekwencji spowodowało obciążenie limitów przyjęć.

Tymczasem moim — i nie tylko moim — zdaniem, jest to tendencja, której niekorzystne skutki za kilka lat mocno odczujemy.

Przed dwoma tygodniami odbyła się sesja WRN w Kielcach, w czasie której omawiano program rozwoju oświaty do 1990 roku. Jak wynika ze wstępnych obliczeń, w

tym czasie w województwie naszym powinno się zatrudnić około 7 tys. nowych nauczycieli. Zakładamy, że część ich, około 1 tys., dostarczą studia wychowania przedszkolnego, drugi tysiąc przybędzie do nas z innych województw, z uniwersytetów itp., ale gros, bo minimum 5 tys. nauczycieli powinna dostarczyć kieleckiej oświacie nasza WSP. Pięć tysięcy w ciągu dziesięciu lat, to znaczy minimum 500 absolwentów każdego roku. Zważywszy, że niepełna 60 proc. absolwentów trafia do szkół województwa kieleckiego, zaś 40 proc. do radomskiego, tarnobrzeskiego i innych, powinniśmy kształcić znacznie więcej nauczycieli.

Ale liczymy dalej: jeśli na pierwszy rok studiów przyjmujemy 400 osób, to po czterech latach będziemy mieli nie więcej niż 350 absolwentów. Z tego do szkół województwa kieleckiego trafi 200, no 250. Z góry więc już wiadomo, że zdołamy zaspokoić potrzeby województwa nie więcej niż w 50 proc. A skąd oświata nasza weźmie pozostałe 50 proc. pedagogów?

No, a przecież musimy także liczyć się z tym, iż za kilka lat staniemy wobec konieczności obniżenia liczebności klas, gdyż program zreformowanej szkoły zmusi nas do tego. Zaś obniżenie liczebności klas, to w konsekwencji większe potrzeby kadrowe. A wyż demograficzny? Przecież za siedem lat będziemy mieć w skali całego kraju w klasach pierwszych o 180 tys. dzieci więcej, niż mamy obecnie. Co wtedy? Obawiam się, że znów zaczniemy masowo przyjmować niewykwalifikowanych pedagogów.

Moim zdaniem, o tych problemach trzeba myśleć już obecnie, a boję się, że zaczniemy myśleć za późno.

No, ale to takie niepokojące na marginesie tegorocznej rekrutacji. Jaką więc sytuację mieliśmy w roku bieżącym? Ogółem rzecz można, że jeśli kłopot — to z nadmiarem. Na 400 miejsc zgłosiło nam się 1000 kandydatów. Część z nich wykruszyła się już po wstępnych sprawdzianach w zakresie predyspozycji muzycznych i plastycznych, które obowiązują na kierunkach: muzyka, wychowanie przedszkolne i nauczanie początkowe.

W rezultacie do egzaminów przystąpiło 970 osób. Najwięcej kandydatów zgłosiło się na kierunki kulturalno-oświatowy, pedagogika opiekuńcza, historia, biologia, geografia, filologia polska. Tam o jedno miejsce ubiegało się do ośmiu kandydatów.

Jak zwykle mniejszym powodzeniem cieszyły się matematyka, fizyka, chemia. Ale i tu na każde dziesięć miejsc przypadało piętnastu kandydatów. W sumie więc wszystkie kierunki obsadziliśmy bez trudu.

RED.: — A zatem ilościowo bez problemu. Ale, jak wiadomo, „ilość nie zawsze

przechodzi w jakość”. Jak więc z tą jakością?

REKTOR: — Mówiąc szczerze, ogólnie poziom zdających nie był ani gorszy, ani lepszy niż w latach ubiegłych. I jak zawsze zróżnicowany. Na przykład wyraźnie słabsi, niestety, niż uprzednio, kandydaci zgłosili się na rusycystykę, na nauczanie początkowe i wychowanie przedszkolne. Bardzo zróżnicowany był poziom młodych ludzi (a ściślej w przewadze młodych kobiet) pragnących studiować historię. Mieliśmy tu przypadki znakomitego przygotowania, jak też żenującej ignorancji. Natomiast zdecydowanie wyższy poziom kandydatów zanotowaliśmy na kierunku wychowanie muzyczne.

Matematyka, fizyka, chemia — bez zmian. Kandydaci, powiedziałbym, trójkowo; no może nieco lepiej.

RED.: — Skoro już stawia Pan Rektor ocenę, to tegoroczna średnia?

REKTOR: — Tych, co zdali? Trzy z plusem. Ale pamiętajmy, że na 1000 kandydatów, 400 w ogóle nie zdało.

RED.: — Dość minorowo to brzmi. Można powiedzieć, że od lat stoimy w miejscu, mimo że szkoły dostały pokaźny „zastrzyk” kadr z wyższym wykształceniem.

REKTOR: — Przepraszam, ale popełnia pani typowy i dość powszechny błąd w rozumowaniu. Przecież ten, jak pani mówi, „zastrzyk kadrowy” otrzymały szkoły podstawowe, a nie średnie, gdzie sytuacja w zasadzie nie uległa zmianie. No, ale założmy, że wobec poprawy kadrowej w szkołach podstawowych, szkoły średnie otrzymują lepiej przygotowaną młodzież, z którą lepiej i efektywniej można pracować. Zapewne tak jest, tylko, że z tą grupą młodzieży będziemy mieć do czynienia dopiero za dwa, trzy lata. Jak na razie przychodzą do nas absolwenci, którzy „podstawówki” kończyli cztery, pięć lat temu, kiedy jeszcze nie było większych zmian kadrowych na tym szczeblu oświaty.

Proponuję więc, aby z orzekaniem, czy masowe kształcenie pedagogów przynosi konkretne efekty, jeszcze zaczekać.

RED.: — Zgoda. Rzeczywiście często zapominamy, iż w oświacie na efekty każdej zmiany, czy to in plus, czy in minus trzeba czekać. I to nie rok lub dwa. Dobrze, jeśli się czasem to uświadomi. I sobie, i innym. Wracajmy jednak do tegorocznych kandydatów. Mamy więc 400 adeptów do zawodu nauczycielskiego. Ale ilu z nich rzeczywiście przystąpi do tej pracy? A ilu zechce podjąć się pracy na wsi? Doświadczenia nie pozwalają na nadmierny optymizm...

REKTOR: — Nasza uczelnia ma w tym zakresie nie najgorsze rezultaty. W dużej mierze sprawia to fakt, iż gros młodzieży studiującej u nas, to młodzież robotniczo-chłopska, a ta, zwiastująca chłopską, ma naj-

mniej opory przed powrotem na wieś. W tym roku również 68 proc. przyjętych stanowią dzieci robotników i chłopów, co daje dobre rokowania. Ale trzeba pamiętać, że wymagania, także i tej młodzieży, rosną. Nikt nie chce iść tam, gdzie nie ma mieszkań, gdzie warunki dojazdowe są ciężkie, gdzie są kłopoty z zaopatrzeniem i brak możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb kulturalnych.

I jeszcze jedno, 80 proc. naszych studentów to kobiety. I to też trzeba brać pod uwagę w obliczeniach. Wiadomo bowiem z góry, że sporo z nich już w czasie studiów lub zaraz po studiach wyjdzie za mąż i to nie za kolegów z własnej uczelni, bo tych jest za mało, lecz za młodych ludzi nie związanych z oświatą. W rezultacie albo zostaną one z mężami w Kielcach, albo wyjadą do innych miast lub ośrodków przemysłowych.

Normalne sprawy, tak rzadko brane pod uwagę przez planistów oświaty, a przecież rzutujące na wszelkie perspektywiczne obliczenia kadrowe.

RED.: — Zdaje sobie sprawę, że nie dysponujemy i prawdopodobnie nigdy dysponować nie będziemy, sprawdzianami, które pozwoliłyby choć w przybliżeniu orzekać o przydatności kandydata do przyszłej pracy w szkole, o jego rzeczywistych predyspozycjach pedagogicznych. Właściwie poza opinią szkoły średniej i rozmową, jaką egzaminujący przeprowadzają z kandydatem, jest to „gra w ciemno”.

Istnieje natomiast pewna szansa orzekania „a posteriori” choćby przez badanie losów absolwentów i wnioskowanie przez analogię...

REKTOR: — Tak. Przeprowadziliśmy takie badania w odniesieniu do 800 absolwentów studiów dziennych naszej WSP oraz nauczycielskich kierunków w uniwersytetach z lat 1976, 1977 i 1978. Zakresem badań objęliśmy województwo kieleckie, radomskie, część tarnobrzeskiego, częstochowskiego, siedleckiego oraz trzy dzielnice Warszawy. Do każdego z tych absolwentów dotarliśmy z ankietą zawierającą 60 pytań oraz z każdym przeprowadziliśmy wywiad. W kilku przypadkach przeprowadziliśmy również wywiady z dyrektorami szkół. Chodziło nam bowiem zarówno o sprawdzenie przydatności absolwentów do pracy, jak i ich samopoczucia w zawodzie, oceny przygotowania, jakie dała im uczelnia.

Materiały z tych badań są jeszcze w trakcie opracowywania, mogą więc podać jedynie pewne przybliżone dane. Otóż znakomita większość ankietowanych stwierdziła, że zawód wybrali w pełni świadomie i że wyboru tego nie żałują. Większość też pozostaje na tym samym miejscu pracy, które zajmuje od początku. Jedynie 140 osób zmieniło miejsce. Najczęściej podawane przyczyny to: wyjazd z danej miejscowości ze względu na zmianę miejsca pracy męża, dalej — brak mieszkania, co dotyczy zwłaszcza wsi, lub złe stosunki międzyludzkie. W kilku przypadkach, jako powód podawano brak opieki i pomocy ze strony dyrekcji i starszych kolegów, choć większość oceniała tę pomoc pozytywnie.

Jeśli chodzi o ocenę przygotowania do pracy, którą zapewniła im uczelnia, to znakomita większość absolwentów pozytywnie ocenia przygotowanie teoretyczne w zakresie przedmiotów kierunkowych, jak również w zakresie pedagogiki i psychologii. Wszyscy natomiast uskarżają się, że pod względem praktyki pedagogiczno-wychowawczej odczuwają duże braki, w wyniku czego napotykają trudności w rozwiązywaniu konkretnych problemów i sytuacji wychowawczych.

Wielu absolwentów narzekało na przeciążenie w okresie studiów, nadmiar przedmiotów nieprzydatnych bezpośrednio dla późniejszej pracy. Zaś w odniesieniu do placówek, gdzie obecnie są zatrudnieni, twierdzą, że odczuwają niedosyt hospitacji i konsultacji, które pomogłyby im wychwycić popełniane błędy i poprawić metody działania.

Natomiast bardzo pozytywnie wypadły opinie dyrektorów o ankietowanych absolwentach.

RED.: — Czy badania te pozwoliły ustalić, jaki procent absolwentów decyduje się na pracę na wsi?

REKTOR: — Spośród tych 800, objętych badaniami, około 40 proc. wybrało wieś. Jeśli chodzi o dane globalne dotyczące naszej uczelni, to — jak wynika z danych pełnomocnika do spraw zatrudnienia — procent ten w roku ubiegłym wynosił 75; zaś na rok bieżący kieleckie kuratorium zgłosiło zapotrzebowanie w stosunku: 85 proc. miejsc na wsiach i 15 — w miastach i miasteczkach. Jak przedstawiać się będzie tegoroczny bilans zatrudnienia — okaże się dopiero jesienią.

Pełniejszy obraz sytuacji w skali masowej będziemy mieć po ukończeniu badań, które przygotowujemy wspólnie z Uniwersytetem Warszawskim oraz kilkoma innymi uczelniami, a którymi objąć chcemy wszystkich absolwentów z roku 1977 na terenie 29 województw. Będzie to już bardzo szeroko zakrojona praca. I właśnie nasze badania, o których mówiłem, traktowaliśmy jako wstępne, pilotażowe.

RED.: — Tak więc na pełną i aktualną odpowiedź na to zasadnicze przecież pytanie — kogo, jak i w jakim procencie rzeczywiście dla potrzeb oświaty przygotowują nasze uczelnie pedagogiczne — trzeba będzie poczekać. Pozostaje mi serdecznie podziękować Panu Rektorowi za rozmowę.

Rozmawiała:
KRYSTYNA ROGALSKA

OPOWIADAM SIĘ ZA RÓŻNO- RODNOŚCIĄ

DOC. DR HAB.
ZYGUNT WIATROWSKI
Bydgoszcz



Fot. Cz. Górski

Od trzech już lat toczy się dyskusja nad przyszłym kształtem szkoły zawodowej. Interesującą próbę globalnego spojrzenia na jej wyniki zaprezentował ostatnio Tadeusz Ciepkowski na łamach „Głosu Nauczycielskiego” (nr 27 z 1979 r.). W artykule zatytułowanym: „Rezultaty dyskusji i perspektywa zmian”, zaakcentowano z jednej strony walory dotychczasowych koncepcji reformy kształcenia zawodowego, z drugiej zaś problemy nadal oczekujące rozwiązania.

W swojej wypowiedzi dyskusyjnej pragnę skupić uwagę na poziomach i etapach kształcenia zawodowego w niedalekiej już przyszłości. Wychodzę z założenia, że kształcenie zawodowe dostosowane być musi zarówno do możliwości i zainteresowań kształconych, jak też do potrzeb społeczno-gospodarczych kraju. Te ostatnie przyjmują różną postać. Liczą się nade wszystko potrzeby gospodarki narodowej, w tym przemysłu, rolnictwa, rzemiosła i usług. Realia naszych czasów nakazują kształcić część młodzieży w wybranych zawodach znacznie wcześniej niż po 10 klasach szkoły ogólnokształcącej.

Ale nie tylko z tego względu różnicowanie kształcenia zawodowego wydaje się zasadne. Liczy się też potrzeba doprowadzenia kształconej młodzieży do specyficznych dla poszczególnych zawodów umiejętności zawodowych, stanowiących o istocie kwalifikacji pracowniczych i determinujących prawidłowe oraz skuteczne funkcjonowanie pracownika na stanowisku pracy. Nie trzeba chyba wykazywać, że kształtowanie systemu umiejętności szczególnie w układach działań motorycznych, wymaga czasu. „Drabinkowa” koncepcja szkoły zawodowej, w tym półrocznej czy nawet rocznej, może więc okazać się zawodna. Nie można też lekceważyć rzeczywistych zainteresowań, nastawień i możliwości kształconej młodzieży. Kształcenie całej populacji młodzieży przez 10 lat w szkole ogólnokształcącej, a tym samym uznanie tylko jednej drogi dochodzenia do wykształcenia średniego jest dziś często kwestionowane. Niektórzy pedagodzy akcentują jedynie potrzebę kształcenia „pięknej osobowości”, wiążąc to li tylko ze szkołą ogólnokształcąca. Rozważania na temat „ciasnyc głów”, prowadzone swego czasu na łamach „Kultury”, brzmiały nabyt obiecująco, lecz nie liczą się z realiami naszego życia społeczno-ekonomicznego, realiami, których lekceważyć nie wolno.

Wychodzę z założenia, że w przyszłym systemie kształcenia zawodowego wyróżnić należy kilka poziomów i etapów kształcenia. Oto możliwości przyszłej struktury kształcenia zawodowego:

Studium Zawodowe — dla absolwentów 10-letniej średniej szkoły ogólnokształcącej o rocznym, dwuletnim i trzyletnim cyklu kształcenia w zależności od zawodu i specjalności, traktowane jako nurt podstawowy.

Średnia Szkoła Zawodowa — 3-letnia dla uczniów po klasie VIII dziesięcioletniej szkoły ogólnokształcącej, wykazujących się odpowiednimi uzdolnieniami praktycznymi, zainteresowaniami oraz chęcią wcześniejszego rozpoczęcia pracy zawodowej.

Szkoła Przpysposobienia Zawodowego — roczna lub dwuletnia dla młodzieży — po VII i po VIII klasie — szkoła ta skupiałaby młodzież, która z racji znacznych niepowodzeń szkolnych nie rokuje ukończenia szkoły średniej (ogólnokształcącej lub zawodowej).

Studium Zawodowe dla Pracujących — dla absolwentów 10-letniej średniej szkoły ogólnokształcącej — o rocznym, dwuletnim

i trzyletnim cyklu kształcenia w zależności od zawodu i specjalności.

Technikum dla Pracujących — dla absolwentów średniej szkoły zawodowej lub studium zawodowego o krótszym cyklu kształcenia, przy tym typowanych przez zakłady pracy i legitymujących się przynajmniej dwuletnim okresem dobrej pracy zawodowej w wyuczonym zawodzie.

Oprócz tych form organizacyjno-programowych przewidzieć też należy kształcenie zawodowe części młodzieży w szkołach artystycznych i specjalnych.

Co przemawia za proponowanymi formami organizacyjno-programowymi i poziomami kształcenia zawodowego? Wymienię można wiele argumentów i uzasadnień. Do bardziej znaczących zaliczyłbym następujące:

Studium zawodowe dla absolwentów 10-letniej szkoły ogólnokształcącej poświęcono dotychczas najwięcej uwagi. Nie ulega wątpliwości, że powinien to być podstawowy nurt kształcenia zawodowego, skupiający około 60 proc. absolwentów dziesięciolatki. Z licznych dyskusji wynika, że powinny to być szkoły o rocznym, dwuletnim czy nawet trzyletnim cyklu kształcenia (to ostatnie powinno być nastawione na kształcenie techników w stacjonarnym systemie szkolnym). Zupełnie natomiast zakwestionowano koncepcję szkoły półrocznej.

Za rocznym, dwuletnim i trzyletnim cyklem kształcenia przemawiają względy psychologiczne, pedagogiczne, ekonomiczne i organizacyjne. W przypadku pierwszym i drugim chodzi o realną możliwość kształtowania osobowości zawodowej przyszłych pracowników, chodzi też o przygotowanie ich do podwójnej roli w zakładzie pracy: do roli dobrego fachowca oraz współgospodarza socjalistycznego zakładu pracy. Chodzi wreszcie o kształtowanie złożonego układu umiejętności i motywacji zawodowej, warunkujących dochodzenie do mistrzostwa w zawodzie. Przemawiają za tym również względy organizacyjne: chodzi o stworzenie systemu kształcenia zawodowego przejrzystego i funkcjonalnego.

Przy światowej tendencji do upowszechnienia szkoły średniej akcentuje się coraz częściej tezę o różnych drogach prowadzących do wykształcenia średniego. Na pewno istotna rola przypada szkole ogólnokształcącej, ale podkreśla się też możliwość i potrzebę doprowadzania młodzieży do wykształcenia średniego poprzez odpowiednio skonstruowaną szkołę zawodową. W Związku Radzieckim znaczące miejsce w realizacji postulatu kształcenia wszystkich obywateli na poziomie średnim zajmuje 3-letnia średnia szkoła zawodowo-techniczna dla młodzieży po VIII klasie szkoły 10-letniej. W innych krajach obserwuje się tendencję wycofywania się z nabyt wydłużonego kształcenia w szkole ogólnokształcącej. Po prostu — utrwała się przekonanie, że szkoła średnia to nie tylko szkoła ogólnokształcąca.

W tej sytuacji postulat 3-letniej średniej szkoły zawodowej dla uczniów po VIII klasie dziesięciolatki staje się odzwierciedleniem ogólniejszych tendencji i rozwiązań światowych.

Oczywiście, powinna to być szkoła równoważna z ukończeniem szkoły 10-letniej i nadająca pierwszy stopień kwalifikacji zawodowych. Za takim rozwiązaniem opowiedzieli się nauczyciele szkół zawodowych, Związek Nauczycielstwa Polskiego, a co ważniejsze — zakłady pracy zainteresowane ciągłym pozyskiwaniem dobrze przygotowanych do pracy robotników i pracowników równorzędnych.

Koncepcja średniej szkoły zawodowej uzyskuje też potwierdzenie w wynikach badań naukowych, w myśl których znaczna część młodzieży legitymuje się wyraźnymi uzdolnieniami oraz zainteresowaniami praktycznymi i takie też chce realizować w odpowiednio skonstruowanej szkole zawodowej (K. Czarnecki, E. Gondzik, Z. Wiatrowski i inni).

Sygnalizując koncepcję średniej szkoły zawodowej należy ustosunkować się też do relacji: wykształcenie średnie a wykształcenie maturale. W literaturze coraz częściej można się spotkać z rozróżnianiem tych dwóch pojęć. W Polsce to rozróżnienie datuje się od 1970 roku, kiedy to wprowadzono zasadę wydawania podwójnych świadectw — świadectwo ukończenia szkoły średniej i świadectwo złożenia egzaminu dojrzałości.

Można przyjąć, że zarówno szkoła 10-letnia, jak i średnia szkoła zawodowa nadawać będzie tylko świadectwo ukończenia szkoły średniej, zaś do świadectwa dojrzałości doprowadzać będą formy szkolne oparte na wyżej wymienionych szkołach średnich. Takie podejście przyczyniłoby się do zlikwidowania szerzących się ostatnio wątpliwości, czy 10-latka uzyskała status szkoły średniej. I jeszcze jedna uwaga. Z różnych powodów należałoby przewidzieć też odpowiedni typ szkoły dla pracujących chociażby dla starszej generacji, ale niekiedy też dla absolwentów szkoły przysposobienia zawodowego, którzy w późniejszym okresie zechcą uczęszczać do średniej szkoły zawodowej. Zapewniono by w ten sposób drożność kształcenia w różnych jego etapach.

Z badań nad niepowodzeniami szkolnymi uczniów szkół podstawowych, zasadniczych i średnich (J. Konopnicki, Cz. Kupisiewicz, Z. Kwieciński, Z. Wiatrowski i inni), wynika, że pokaźna część młodzieży uzyskuje wyniki w nauce poniżej minimalnych wymagań i oczekiwań szkoły. Wprawdzie ostatnio te wymagania ciągle się obniżają, lecz mimo to jest nadal grupa młodzieży nie rokująca nadziei na ukończenie obowiązkowej ośmioklasowej szkoły podstawowej. Można przyjąć, że dotyczy to będzie także szkoły 10-letniej.

Wychodzę z założenia, że najodpowiedniejszą formą kształcenia młodzieży z trwałymi i znacznymi niepowodzeniami szkolnymi może być postulowana Szkoła Przysposobienia Zawodowego o rocznym lub dwuletnim cyklu kształcenia, realizująca zadanie przyuczenia do zawodu. W Uchwale Sejmowej z 13 października 1973 r. tę możliwość, a nawet potrzebę wiążano z ciągami uzawodowionymi. Doświadczenia aktualnie prowadzonych ciągów i klas uzawodowionych nie są zbyt zachęcające. Z badań Jerzego Napiórkowskiego i innych wynika, że owe ciągi to jednostki organizacyjne i programowe, których wszyscy unikają — uczniowie, nauczyciele, rodzice a nawet organizatorzy działań oświatowych. Z tego między innymi powodu stanowią one niedoceniony a nawet lekceważony margines działań oświatowych i wychowawczych. Zachodzi potrzeba nadania temu nurtowi kształcenia znacznie wyższej rangi, co możliwe jest do zrealizowania poprzez wprowadzenie szkół przysposobienia zawodowego.

Dodać należy, że szkoły przysposobienia zawodowego mają bogatą tradycję, a w niektórych okresach były nawet wysoko cenione. Za powyższym rozwiązaniem przemawia też stanowisko psychologów, w tym prof. Żebrowskiej, której zdaniem nie może być mowy o jednakowym rozwoju, jednakowych możliwościach i zainteresowaniach całej populacji młodzieży. Oczy-

wiście, chodzi o szkoły względnie autonomiczne, organizowane przy zespołach szkół zawodowych.

Studium zawodowe dla pracujących stanowić powinno głównie szansę dojścia do kwalifikacji zawodowych dla tych absolwentów szkoły ogólnokształcącej, którzy z różnych powodów podjęli pracę jako pracownicy niewykwalifikowani. Są w tym względzie do wykorzystania wyniki badań i postulaty zawarte w pracy pt.: „Powodzenia i niepowodzenia szkolne pracujących”, ale także propozycje Departamentu Kształcenia ustawicznego Ministerstwa Oświaty i Wychowania oraz wyniki badań prowadzonych w ramach XI problemu węzłowego pod kierunkiem prof. Ryszarda Wroczyńskiego.

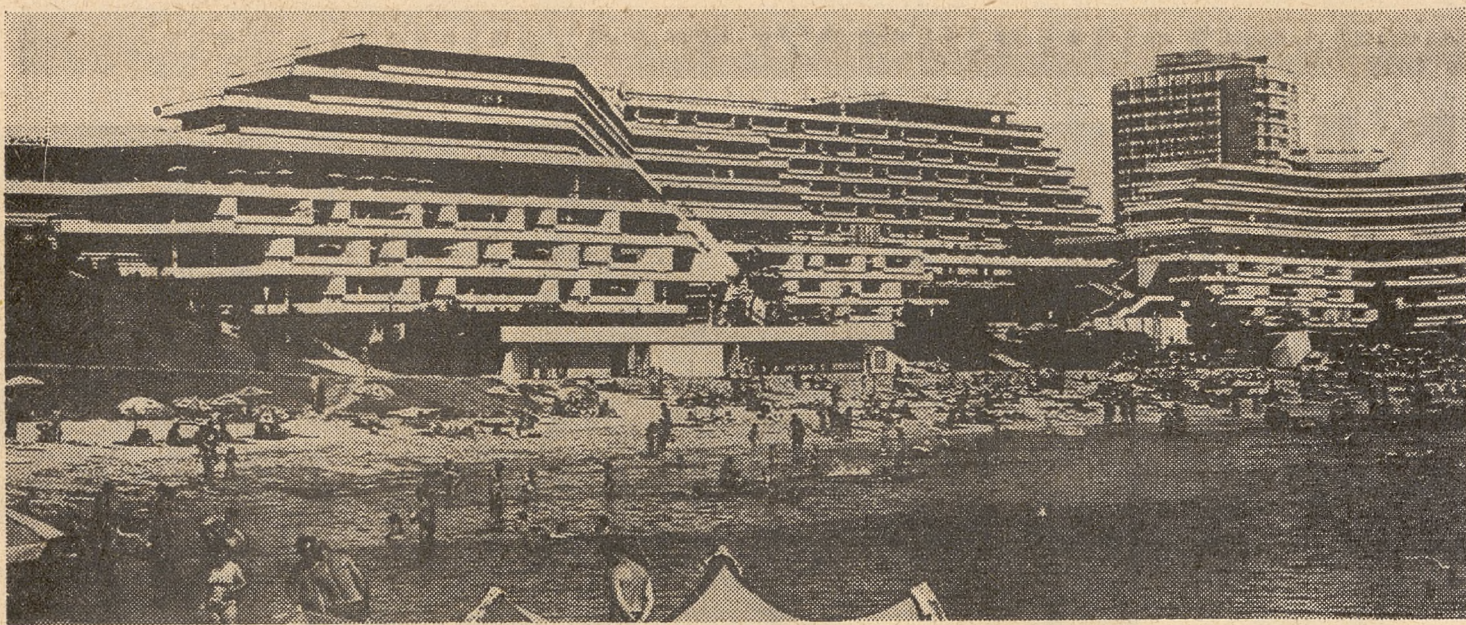
Technikum dla pracujących to sprawa najbardziej kontrowersyjna. W koncepcji reformy systemu kształcenia zawodowego w związku z tym czytamy: „Kształcenie techników i pracowników równorzędnych będzie organizowane w trakcie pracy zawodowej w formach szkolnych dla dorosłych. Kształcenie to będą mogli podjąć pracownicy mający jeden z wyższych szczebli kwalifikacyjnych”. I dalej — „Kształcenie techników będzie trwało od dwóch do czterech semestrów. W uzasadnionych przypadkach kształcenie techników i pracowników o równorzędnych kwalifikacjach będzie organizowane dla młodzieży niepracującej na podbudowie powstającej szkoły średniej.”

Intencją wyżej proponowanych rozwiązań jest zlikwidowanie rozbieżności w pojmowaniu terminu „technik”. Obecnie funkcjonują dwa znaczenia: — technik jako tytuł nadawany w szkole i technik jako stanowisko pracy wymagające odpowiedniego przygotowania.

W przyszłości za nazwą „technik” chciałoby się widzieć odpowiednie stanowisko pracy, głównie zaś pracy w tzw. średnim nadzorze technicznym. W tym zaś względzie rola sterująca i decyzyjna powinny rzeczywiście przypadać zakładowi pracy. Można przyjąć, że takie podejście do kształcenia techników przyczyni się do znacznego podwyższenia rangi tej szczególnej grupy pracowniczej. Opowiadam się więc za kształceniem techników w systemie szkolnictwa dla pracujących przy uwzględnieniu pewnych możliwości kształcenia w studiach dziennych.

★

Przedstawione propozycje w znacznej części akcentują dotychczas zgłaszane rozwiązania. Sprawy nowe dotyczą szkoły przysposobienia zawodowego oraz koncepcji i nazwy średniej szkoły zawodowej, jak również nieco innego spojrzenia na cykle kształcenia zawodowego w ramach studium zawodowego. W dyskusjach mówi się najczęściej o szkole zawodowej bez wyraźnego jej różnicowania, gdy tymczasem na obecnym etapie zachodzi już potrzeba konkretyzacji nawet w kwestiach nazewnictwa. Nie można bowiem w nieskończoność posługiwać się ogólną nazwą „szkoła zawodowa” dla oznaczenia różnych poziomów i etapów kształcenia zawodowego.



Najwspanialszym elementem czarnomorskiej „Riwieri” jest nowoczesny zespół hoteli „Panoramic”.

Fot. archiwum

NAD MORZEM CZARNYM NIE TYLKO SIĘ ODPOCZYWA

KORESPONDENCJA
WŁASNA Z RUMUNII
KRYSZYNA ROGALSKA

W ten czerwcowy dzień Bukareszt przywiał mnie strugami deszczu. Po warszawskich upałach taka kąpiel stanowiła nawet pewną atrakcję. Deszcze i burze gradowe towarzyszyły zresztą całemu mojemu tygodniowemu pobytowi w Rumunii i były jedynymi chwilami odpoczynku po dniu, w którym wszystko i wszyscy topnieł z gorąca.

Zrozumiałe więc, iż propozycja moich gospodarzy, kolegów z redakcji „Tribuna Scolii”, aby tym razem zapoznać się ze szkolnictwem na wybrzeżu Morza Czarnego, bardzo mi odpowiadała. Nawiasem mówiąc, sugestia ta nie była spowodowana jedynie względami klimatycznymi. Rumuńscy koledzy chcieli przy okazji pokazać mi nową zabudowę dużej części swej czarnomorskiej „Riwieri”, z której, podobnie jak wszyscy Rumuni, są niezwykle — i nie bez słusznego — dumni.

Bo też rzeczywiście to, czego dokonano tu w ciągu ostatnich kilku lat, zadziwia rozmachem i nowoczesnością. Od Mongolii aż po granicę z Bułgarią biegnie nieprzerwany ciąg miejscowości o romantycznych nazwach zaczerpniętych z mitologii greckiej. A ściślej — nieprzerwany ciąg hoteli, pensjonatów, restauracji, kawiarni, klubów, kortów tenisowych, przystani żeglarskich, pól golfowych, boisk sportowych itp. A wszystko tonie w zieleni i migoce wszystkimi kolorami tęczy.

— Nasze władze dały tu architektom wolną rękę — mówi towarzysząca mi red. Violetta Apostol. — Chodziło o próbę wypracowania naszego własnego, rumuńskiego stylu w tego typu budownictwie.

Punktem centralnym nadmorskiego zespołu architektonicznego jest „Panoramic”, kompleks hoteli powiązanych w całość wspólnymi tarasami i rozwiązaniami rekreacyjnymi. Wykorzystano tu kapitalnie dwa elementy naturalnej struktury wybrzeża: zakole linii brzegowej oraz budowę terenu amfiteatralnie schodzącego ku morzu.

O wczesnym zmierzchu, kiedy zachodzące słońce pozwala jeszcze dostrzec szafir morza i soczystą zieleni poprzerywaną turkusowymi plamami basenów kąpielowych, zaś białe gmachy „Panoramicu” rozświetlają tysiącami świateł — widok jest istotnie niezapomniany.

Doceniają to zresztą turyści, od których tu się roi. Gwoli ścisłości trzeba jednak powiedzieć, iż w tym lingwistycznym „cocotailu” język rumuński dominuje. Bo luksusowy „Panoramic” jest w pełni dostępny gospodarzom tej ziemi. Wprawdzie nie mogą tu oni przyjeżdżać indywidualnie, ale otrzymanie skierowania do któregoś z tutajszych hoteli wcale nie jest czymś wyjątkowym. Choć, rzecz jasna, nikt nie ukrywa, iż gros tutajszych hoteli, zwłaszcza zaś „Panoramic” zarabia dewizy dla kraju. I zarabiają... Co do tego nie ma wątpliwości.

No cóż, klimat jest łaskawy dla naszych południowych przyjaciół i stanowi niebagatelny „towar eksportowy”, który Rumuni nauczyli się dobrze „opakowywać” i sprzedawać.

Zresztą nadmorski klimat służy nie tylko obcokrajowcom. W położonym nieco bardziej na północ Novodarze, zlokalizowane jest największe na świecie — jak

twierdzą koledzy z „Tribuna Scolii” — centrum obozowo-kolonijne dla młodzieży.

„COMPLEXUL DE ODIHNA PENTRU COPII”

tak bowiem brzmi jego pełna nazwa. Największe, nie największe... mniejsza z tym. W każdym razie na pewno duże. Odpoczywać tu może prawie 7,5 tys. dzieci jednocześnie. Ze zaś w ciągu wakacji młodzież przebywa tu w sześciu turnusach, łatwo obliczyć, że w „Complexul de odihna” każdego roku blisko 50 tys. młodych i najmłodszych Rumunów spędzać może dwa atrakcyjne tygodnie.

Nie tylko Rumunów. W okresie od 1 do 21 lipca 600 miejsc przeznacza się dla młodzieży zagranicznej. Przyjeżdżają tu z około 30 krajów pod opieką własnych nauczycieli i wychowawców. Te trzy tygodnie nazywane są okresem międzynarodowym. Wtedy to bowiem organizuje się różne wspólne „międzynarodowe wieczory”, zabawy i zawody sportowe.

W pozostałym czasie takich wspólnych, dla całego obozu, imprez nie ma. Po prostu za dużo tu dzieci. Każdy „dom” — bo dzieci są tu rozlokowane w ponad dwadzieścia rozrzuconych po terenie pawilonach — żyje własnym życiem i według własnego programu.

Tylko dyrekcja jest wspólna. Ale jej działalność w zasadzie ogranicza się do spraw administracyjnych, przygotowywania programów ramowych, no i wizytowania poszczególnych grup — mówi zastępca dyrektora do spraw pedagogicznych, Artur Hoffmann. Mówi zresztą... po polsku. I bardzo chętnie przyznaje się do swojej polskiej babki, którą wspomina z ogromnym sentymentem.

Oboz powstał 20 lat temu z inicjatywy i z funduszy Rumuńskiej Rady Związków Zawodowych, która w dalszym ciągu pokrywa trzy czwarte kosztów pobytu dziecka. Jedną czwartą kosztów, to znaczy około 100 lei, ponoszą rodzice, zaś Ministerstwo Oświaty sprawuje opiekę pedagogiczną nad całością i zapewnia kadre.

Właśnie: kadra. Jeśli chodzi o wychowawców, to zarząd obozu nie ma żadnego problemu ani z ich angażowaniem, ani nie odpowiada za ich właściwy dobór. Po prostu każde województwo ma prawo przysłać na każdy turnus około 200 dzieci, ale wraz z zespołem wychowawców według klucza: jeden wychowawca na 24 dzieci.

— Kto ich angażuje?

— Nikt — mówi dyrektor Hoffmann. — Szkoła, wysyłając grupę dzieci, deleguje wraz z nimi nauczyciela.

— Jak należy rozumieć owo delegowanie?

— Po prostu, nauczyciele są tu kierowani w ramach swojej normalnej pracy. Każdy nauczyciel ma 62 dni wolne w ciągu roku. Łącznie z feriami zimowymi. W związku z tym w czasie szkolnych wakacji każdy nauczyciel co najmniej dwa tygodnie musi pracować i w tym czasie może być oddelegowany do Novodaru lub na inne kolonie.

Czy przyjeżdżają chętnie? Różnie to bywa, choć na ogół wolą pracować tutaj niż w szkole lub na jakichś innych koloniach. Tu są bowiem znakomite warunki, no i morze, co przy rumuńskich upałach nie jest bez znaczenia.

A swoją drogą trzeba mieć stalowe nerwy, żeby nie wpadać w panikę na widok tego mrowiska dzieci na plaży z impetem wbiegających do wody, coraz ginących z oczu za grzbietami fal... Jak upilnować, aby wszyscy cało i bezpiecznie wrócili na

teren obozu, jak zapobiec ewentualnemu nieszczęściu?

— To tylko wygląda tak groźnie — śmieje się dyrektor Hoffmann. — Gdyby pani lepiej się przypatrywała, dostrzegłaby, że plaża (a ciągnie się ona na przestrzeni 2 kilometrów) podzielona jest na sektory. Każdy „dom” ma swój sektor, a ponadto dzieci wchodzi do wody „kolorami”.

— ?...

— Każda grupa ma swój kolor. Gdy wychowawca podniesie chorągiewkę w danym kolorze, do wody wchodzi tylko 24 jego podopiecznych. Tyłu już można upilnować. No, a przede wszystkim, jest tu bardzo płytko. Novadar specjalnie został wybrany na obóz młodzieżowy, gdyż właśnie tutaj jest duży pas wyjątkowo płytkiego wybrzeża. Choć, mówiąc szczerze, strach nas nie opuszcza. Wiadomo: „dziecko + woda = skutek nieprzewidywalny”. Robimy więc wszystko, aby zapobiec jakiegokolwiek możliwości wypadku. I jakoś nam się to od dwudziestu lat udaje.

Zorientować się w rozplanowaniu obozu nie jest łatwo. Owszem, część centralna to znaczy pawilon administracyjny, gospodarczy, ambulatoryjny — skoncentrowane są w jednym miejscu. Ale reszta to kilkadziesiąt pawilonów ukrytych w lesie, to 25 boisk sportowych, kilka basenów kąpielowych, pawilony świetlicowo-rekreacyjne.

W tym świetle pojęcie „obóz” jest trochę mylące. W gruncie rzeczy jest to kilkanaście podobozów żyjących własnym życiem, z własnym samorządem, własną radą pedagogiczną, własnym programem. Ba, z własnym zapleczem gospodarczym, własną kuchnią. Jedynie aprowizacja załatwiona jest centralnie. Centralnie też organizuje się takie na przykład sprawy, jak sprowadzenie i dystrybucja filmów, zapraszanie prelegentów, którzy odwiedzają poszczególne grupy młodzieży; przygotowywanie różnego typu wycieczek, z których wybręcho mogą korzystać uczestnicy obozu w swoich grupach. Centralnie też rozwiązano problem opieki zdrowotnej, którą sprawuje tu 15 lekarzy i 40 pielęgniarek. Codziennie między godziną 6.00 a 7.00 rano przeprowadzają oni blyskawiczną kontrolę zdrowotno-sanitarną.

Czy novodarska koncepcja odpoczynku dzieci i młodzieży jest najlepsza? Wśród pedagogów rumuńskich, z którymi rozmawiałam, zdania są podzielone. W każdym razie spora ich część uważa, iż mniejsze obozy lub kolonie, prowadzone w sposób tradycyjny, przynoszą większe wartości wychowawcze, umożliwiają autentyczną integrację młodzieży, sprzyjają lepszemu poznawaniu się młodych ludzi z różnych regionów i z różnych środowisk.

— W Novodarze poszczególne grupy prawie się ze sobą nie znają — mówiono. Niby jest się na tym samym obozie, a naprawdę jest się osobno. Tylko we własnym zespole. To nie kolonie, lecz „maszyna do odpoczywania”. Choć nie brak też jej zwolenników.

Oczywiście. Novodar jest jeden, ale obozów i kolonii jest wiele. Bo w Rumunii niemal wszystkie dzieci mają zorganizowane i często...

PRACOWITE WAKACJE

I to nie tylko dlatego, że młodzież rumuńska, podobnie jak nasza, w czasie pobytu na obozie czy kolonii pracuje społecznie. Przede wszystkim dlatego, że ogromna liczba młodych Rumunów uczęszcza do szkół i liceów zawodowych i w czasie ferii odbywa praktyki.

María Doina Michai — dyrektorka Liceum Ekonomicznego nr 2 w Konstancy — mówi, że w czasie wakacji w każdej niemal miejscowości na wybrzeżu, w każdym hotelu, restauracji czy campingu może spotkać jednego ze swych 2 tys. uczniów. Liceum jest bowiem uprofilowane na tzw. żywienie zbiorowe i obsługę turystyczną. Stąd podlega „dwóm panom”: Ministerstwu Handlu Wewnętrznego i Usług oraz Ministerstwu Oświaty. Pierwsze daje pieniądze, drugie — sprawuje nadzór pedagogiczny.

Być uczniem tej szkoły wcale nie jest tak łatwo. Program obejmuje kilkanaście przedmiotów, od księgowości i prawa administracyjnego poczynając, a na towaroznawstwie i technologii żywienia — w teorii i w praktyce — kończąc. A ponieważ liceum kształci specjalistów w zakresie obsługi turystów, każdy uczeń w trakcie nauki musi opanować, bagatel... cztery języki. Dlatego tak bardzo dba się tu o pracowników lingwistyczne, o dobrych nauczycieli filologów.

O dobór 40-osobowej kadry nauczycielskiej zabiegają oba resorty i to zabiegają nader troskliwie. Tego typu licea są bowiem w Rumunii szczególnie hołubione, zwłaszcza na wybrzeżu.

— Mamy młodzież z kilku regionów — mówi dyrektor Doina Michai. — Garną się do nas, bo zawód atrakcyjny, a fachowcy poszukiwani. Te walory przyciągają, mimo że w szkole trzeba naprawdę ciężko pracować. I to nie tylko w czasie zajęć szkolnych, lecz i w czasie wakacji. Każdy trymestr kończy się praktyką, a po zakończeniu roku dodatkowy miesiąc praktyki. Gdzie? Różnie: młodszy zaczynają od prac pomocniczych w kawiarniach, barach, hotelach; starsi, a zwłaszcza uczniowie ostatnich klas, są zatrudnieni w recepcjach hotelowych, biurach turystycznych, jako pomocnicy kierowników sal w restauracjach, pracują w administracji na campingach... Jest to naprawdę ciężka praca. W sezonie bywa, że i 12 godzin trzeba trwać na służbie. Co robić, potrzeby kadrowe na tym odcinku są ogromne, a o ludzi do prac sezonowych niełatwo.

Umiejętności kulinarne uczniów sprawdzamy w czasie obiadu, na który zaprasza nas dyrektorka, innego typu sprawności poznać będą mogli turyści w czasie pobytu w Rumunii.

Na różnego rodzaju praktykach zawodowych upływa spora część wakacji blisko 70 proc. rumuńskiej młodzieży ze szkół średnich. Młodych ludzi można tu spotkać w wielu zakładach pracy, a zwłaszcza w różnych instytucjach związanych z obsługą turystów.

W czasie wakacji odbywają się też rozmaite obozy naukowe, sesje popularnonaukowe dla młodzieży, seminaria tematyczne, w których biorą udział nauczyciele wraz z niektórymi swymi uczniami.

Właśnie nauczyciele. Jak oni spędzają wakacje? Oczywiście, odpoczywają, choć

BEZ PRZESADY

— jak mówi Lucia Nicolae, dyrektorka wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli.

Bo każdy z nauczycieli co roku obowiązany jest uczestniczyć w kursie przedmiotowo-metodycznym, zaś co pięć lat musi odbyć kurs ogólnorozwojowy.

No, a poza tym uczą się indywidualnie, przygotowują do różnego typu egzaminów. Przede wszystkim młodzi nauczyciele, którzy po trzech latach pracy są zobligowani do złożenia egzaminu kwalifikacyjnego.

Potem (choć to już nieobowiązkowo) zdobywa się stopnie specjalizacyjne. Drugi stopień — po pięciu latach, pierwszy — po dziesięciu latach pracy. Na przygotowywanie się do tych, wcale niełatwych, egzaminów trudno wygospodarować czas w ciągu roku szkolnego.

Zdobywanie specjalizacji to sprawa zarówno ambicji, jak i finansów. Każdy bowiem stopień specjalizacji przynosi spory dodatek do poborów, które wahają się tu od 2 tys. lei, jakie otrzymuje rozpoczynający pracę pedagog do 4, a nawet do 5 tys., stanowiących górny pułap. Oczywiście, aby zarabiać te 5 tys., trzeba mieć zarówno wyższe wykształcenie, jak też odpowiednią wysługę lat i być specjalistą drugiego stopnia.

Więc wielu też nauczycieli studiuje zazwyczaj. W samym tylko rejonie Konstancy około 20 proc. pedagogów zdobywa aktualnie dyplomy.

— Jak wyglądają nauczycielskie wakacje? — dodaje p. Nicolae — wystarczy jeśli powiem, że w naszym okręgu na 6500 zatrudnionych tu nauczycieli, około 1100 studiuje. 870 uczestniczy w kursach ogólnorozwojowych, blisko 1200 przygotowuje się do egzaminów kwalifikacyjnych, zaś wszyscy muszą przejść kurs przedmiotowo-metodyczny. Można do tego doliczyć jeszcze co najmniej tysiąc tych, którzy są w trakcie zdobywania specjalizacji.

Teraz jest w naszym ośrodku pusto, bo wakacje rozpoczęły się tylko dla najmłodszych, ale gdyby pani przyjechała za kilka dni, kiedy we wszystkich szkołach zaczyna się ferie, to zobaczyłaby pani, ilu nauczycieli siedzi w bibliotekach, ilu przychodzi na konsultacje, ile tu odbywa się egzaminów każdego dnia...

Jakże znajome to słowa i jak bardzo podobnie przedstawiają się wakacje naszych i rumuńskich pedagogów. Widać to już taki nauczycielski los Tyle, że upalne rumuńskie lato trudniej niż nasze znosi się w salach wykładowych czy w bibliotekach...

POWRÓT DO ŻYCIA

Czy można wyobrazić sobie współczesne państwo, które świadomie, z własnej woli rezygnuje z posiadania szkół, od podstawowych poczynając, poprzez średnie, na wyższych kończąc? Czy można wyobrazić sobie społeczeństwo, w którym analfabetyzm staje się hasłem, wskazówką i cnotą do naśladowania? Czy można sobie wyobrazić społeczeństwo, którym rządzi władza stosująca przymusowe ciężkie roboty, a bardzo często również karę śmierci za sam fakt przynależności do zawodu nauczycielskiego?

Owszem — było do niedawna takie państwo w Azji, na kontynencie, gdzie przecież rozwinęło się wiele prastarych kultur, głęboko zakorzenionych w przeszłości; gdzie szacunek dla uczonych, dla słowa pisanego i drukowanego był w wielu krajach żywy i silny nawet wśród obywateli nieoświeconych. Tym państwem była Kambodża, czyli Kampuczea, kraj jak na drwinę określany „demokratyczną Kampuczeą” przez jego władców, wśród których na pierwszym miejscu uplasowali się doktrynerzy z dyplomami wyższych uczelni francuskich: Khieu Samphan, Pol Pot, Ieng Sary.

Kambodża leży na południu Półwyspu Indochińskiego, sąsiadując z Wietnamem, Laosem i Tajlandią. Rozległa równina, którą przepływa Mekong, jedna z potężnych rzek azjatyckich, otoczona jest od północy, zachodu i wschodu półkolistym pierścieniem Gór Kardamonowych i Dangrek oraz pasmem płaskowyży; otwarta zaś jedynie od strony morza, na południu, Łańcuch Gór Kardamonowych, porośniętych nieprzebytą dżunglą, oddziela Nizinę Kambożańską od Zatoki Syjamskiej. Na wschód od Mekongu rozciąga się prowincja Kratie — płaskowyż, lasy i ogromne, krzaczaste trawy. Od granicy z Laosem aż do prowincji Kratie, Mekong toczy swoje wody w ciasnej dolinie wśród, wysoko spiętrzonych skał bazaltowych. Łańcuch Gór Kardamonowych oddziela nizinę trzech wielkich jezior zachodnich od nizin wschodniej nad Mekongiem. Dolina, w której leży ogromne jezioro Tonle Sap, słynie z żyzności. Ludzkie osady skupiały się zawsze najliczniej w nizinnych okolicach nad rzekami. Tu bowiem od niepamiętnych czasów lat-wiel było o ryż i o ryby, o jarzyny, owoce oraz drewno, trzcinę i bambus — budulec do wznoszenia chat. Tu zamieszkuje najwięcej Khmerów, tak bowiem określani są w ich własnym języku Kambodżanie: w wyżynnych i górskich okolicach kraju egzystuje wiele plemion i mniejszości etnicznych mówiących językami i narzeczaniami innymi niż język khmerski.

Dawne królestwo Khmerów przeżyło kulminacyjny punkt świetności pomiędzy wiekami IX a XII naszej ery, kiedy na jego terenie istniała silna, prężna i dobrze zorganizowana monarchia Angkoru. Jej potęgą przetrwała do wieku XV. Potem zaczął się długotrwały schyłek królestwa. Jego władcy wraz z rodziną, kapłanami i otoczeniem opuścili stolicę, miasto Angkor Thom, posiadającą wspaniałe zespoły świątyń, Angkor Wat. Stolicą królestwa stało się na długie lata miasto Udong, później zaś miasto stosunkowo młode i nowe, rozbudowane na dobre dopiero po 1955 roku, Phnom Penh. Piękno zarośniętych dżunglą świątyń Angkoru odkryte zostało na nowo przez uczonych francuskich dopiero pod koniec ubiegłego wieku. Wtedy również kraj nad Mekongiem stał się terenem ekspansji kolonialnej Francji, która oficjalnie anektowała go w 1887 roku. Musiało upłynąć wiele jeszcze wody w tej potężnej rzece, zanim rozpoczęła się pierwsza wojna na narodów Indochin (1946—1954) przeciw kolonialistom francuskim; wojna, w której największą rolę odegrał wietnamski ruch wyzwolenczy — Vietminh. Uczestniczył w niej również kambodżański ruch oporu „Khmer Issarak”. Postanowieniami konferencji genewskiej z 1954 roku dotyczącej Indochin, królestwo Kambodży uzyskało uznanie całkowitej niepodległości i suwerenności. Władzę w nim sprawował książę Norodom Sihanouk, szef rządu królestwa, który pełnił swą funkcję aż do prawnego zamachu stanu wiosną 1970 roku. W następstwie tego zamachu — głównymi jego inicjatorami byli: reakcyjny generał Lon Nol, późniejszy szef rządu proamerykańskiego i książę Sirik Matak, bliski krewny, a zarazem zacięty wróg Sihanouka — kraj, dotychczas nazywany „oazą pokoju” na ustawicznie nękany konfliktami Półwyspie Indochińskim, znalazł

się w orbicie wojny. Rozpoczął się niebawem nowy khmerski ruch oporu, stawiający sobie za cel obalenie reżimu Lon Nola i walkę o wolną, demokratyczną Kambodżę. Ruch ten wprędce okrzepł i obejmował władzę na coraz szerszych terenach kraju. Siłą napędową ówczesnej walki był, utworzony wiosną 1970 roku, Zjednoczony Front Narodowy Kambodży, nazywany po prostu FUNKiem. Po stronie FUNKu opowiedział się przebywający wówczas w Pekinie książę Sihanouk, którego wiadomość o zamachu stanu zaskoczyła w podróży, gdy wracał z Francji do Phnom Penh.

Garść tych szczegółów potrzebna jest, aby Czytelnik napotykać na łamach prasy, w radiu i telewizji wiadomości o Kambodży, czyli Kampuczei (zaznaczmy od razu, że nieprawidłowa jest nazwa „Kampucza”, którą lansują prawdopodobnie niezbyt uświadomieni w realiach dotyczących Kambodży przedstawiciele naszej komisji nazewnictwa...) — mógł się zorientować w przebiegu tragicznych wydarzeń, których widowiskiem stał się ten kraj po 17 kwietnia 1975 roku, czyli po ostatecznym upadku reżimu Lon Nola i ostatecznym wycofaniu amerykańskich interwencji z Kambodży.

Takie wynaturzenia wystąpiły w autentycznym pierwotnie ruchu wyzwolenczym? Co sprowadziło go na manowce? Jak to się stało, że przywódca tego ruchu, potocznie nazywanego ruchem Czerwonych Khmerów, pchnął własny naród na krawędź nędzy, wyniszczenia, zagłady, sięgając do metod ludobójstwa?

Jeszcze nie wszystkie sprawy dotyczące rozwoju i upadku ruchu Czerwonych Khmerów można obecnie wyjaśnić. Od 17 kwietnia 1975 roku, po ich zwycięstwie, zapadła bowiem nad Kampuczeą szczelna „bambusowa kurtyna”, odgradzająca ten kraj od reszty świata. Wszystkich cudzoziemców, jacy poprzednio stale lub okresowo przebywali w Kambodży — największe było wśród nich Francuzów — bezapelacyjnie usunięto z terenu tego kraju.

Pierwszym wiadomościom, jakie przyniesiły uchodźcy khmerscy, którzy zdołali zbiec do Tajlandii, bądź do Wietnamu (wielu z nich przedostało się później do Francji) początkowo nie dawano wiary. Stopniowo jednak ich relacje potwierdzały się. A więc naprawdę Phnom Penh zostało całkowicie opróżnione z ludności, wysiedlono zeń wszystkich mieszkańców, podobnie jak z innych miast kraju zostali oni deportowani na wieś.

Równocześnie Czerwoni Khmerzy rozpoczęli zawzięte tępienie rodzimej inteligencji. Wycofano z obiegu pieniądź. Zamknięto placówki kulturalne i świątynie wszelkich wyznań (w Kambodży najbardziej rozpowszechnioną religią był buddyzm). Jakiegokolwiek ceremonie i obrzędy religijne były surowo zakazane. Kara śmierci groziła zresztą za wszystko, za najbłahszy cień przewinienia wobec reżimu Czerwonych Khmerów. Ludzi zabijano również zgola bez powodu. Pol Pot, Ieng Sary, Khieu Samphan okazali się zimnymi, wyrachowanymi doktrynerami. Kosztem niezliczonych ofiar i cierpień ludzkich, kosztem bezprzekładnego wykrwawienia własnego narodu, pragnęli przekształcić społeczeństwo i całkowicie przeobrazić kraj. Miał on stać się jedną wielką wsią. Albowiem, jak



głosili teoretycy ruchu czerwonychkhmerskiego — miasta są złem i z nich emanuje zło na cały kraj. Wszystko, co z miast pochodzi, wszystko, co służyło zamieszkałym w nim ludziom, jest szkodliwe, zbędne dla dalszego rozwoju narodu. I wszystko to należy zniszczyć...

Niszczono więc tkaniny i narzędzia chirurgiczne, aparaty rentgenowskie w szpitalach — i dzieła sztuki w muzeach. Niszczono biżuterię, wentylatory i lodówki, lekarstwa i książki. Niszczono mnóstwo rzeczy, które mogły służyć ludziom.

Przyjechawszy do Phnom Penh w dzień-wieć lat po poprzednim, trzecim pobycie w tym mieście, widzę mieszkania pełne zmurzałych mebli, mnóstwo butwiejących łachmanów, które niegdyś były ludzką odzieżą, połamane sprzęty, pogruchtane maszyny, zniszczone leki oraz przybory chirurgiczne wartości tysięcy dolarów... Przez cztery lata rządów czerwonychkhmerskich, zakończonych powstaniem ludności, na której czele stanął ZFONK — Zjednoczony Front Ocalenia Narodowego Kambodży — nie wydawano w tym kraju żadnej gazety, nie wydrukowano żadnej książki. I nie uczono dzieci.

Już w okresie wojny z obcymi interwentami oraz reżimem Lon Nola, czyli w latach 1970—1975, szkolnictwo kambodżańskie mocno podupadło. Ówczesne jego straty i szkody były jednak nieporównywalne z ponurym czterolecieciem sprawowania władzy przez Czerwonych Khmerów. Siegnijmy, chociażby, do danych wcześniejszych. W 1957 roku do szkół podstawowych w tym kraju uczęszczało 470 tys. dzieci. W 1965 roku było ich 780 tys. Uczniów szkół średnich było w 1957 roku 16 tysięcy. W roku 1965 — około 79 tysięcy. W tym samym okresie ośmiu lat zwiększyła się liczba uczniów szkół zawodowych i technicznych z około pięciuset do ponad 4 tysięcy. Do 1955 roku nie było w Kambodży ani jednej wyższej uczelni. Otwarcie uniwersytetu w stolicy — w 1962 roku — dało początek rozwojowi szkolnictwa wyższego. Łącznie do wszystkich szkół różnego stopnia i rodzaju uczęszczało w 1965 roku ponad 870 tysięcy uczniów i studentów. Liczba ta w zestawieniu z ówczesnymi siedmioma milionami mieszkańców kraju ma swoją wymowę. Od 1966 roku podjęto również wysiłki zmierzające do walki z analfabetyzmem wśród dorosłych — w tym bowiem czasie ponad połowa mieszkańców Kambodży nie umiała czytać ani pisać.

Te wrywkowe dane niech uprzytomnią Czytelnikowi, że mowa jest o kraju bardzo zacofanym; o kraju, w którym jeszcze pół wieku temu praktycznie jedyną możliwością nauki dla dziecka wiejskiego były szkoły elementarne, istniejące przy pagodach buddyjskich, zresztą tylko dla chłopów. Przed rokiem 1970 poświęcono również wiele troski przygotowywaniu nowych kadr nauczycielskich, których bardzo brakowało. Utworzony został wtedy wydział pedagogiki przy uniwersytecie phompenhskim — oraz Narodowy Instytut Pedagogiczny.

Wszystko to przestało istnieć po zwycięstwie Czerwonych Khmerów. Niwecząc dawne struktury społeczne kraju, zamknęli i zlikwidowali szkoły. Inteligencja — wśród nich również nauczyciele i wykładowcy szkół wyższych — należała do najbardziej prześladowanych grup społecznych. Dzieci od szóstego roku życia uczono, że „Angkar Leu”, czyli Organizacja Najwyższa, Władza Najwyższa jest stokroć ważniejsza, niż rodzice, wyposażona w stokroć większy i wręcz nieomylny autorytet.

Przedmiotem swoistego kultu stała się praca fizyczna, do której kierowano zarówno dorosłych, zgrupowanych w brygadach produkcyjnych, jak i dzieci od lat sześciu do dwunastu. W niektórych okolicach Kampuczei nie nauczyciele, lecz zaledwie piśmienni kadrowcy czerwonychkhmerscy uczyli malców czytania i rachowania. Oczywiście, tylko na poziomie elementarnym. Były to zresztą wypadki sporadyczne. Większość bowiem dzieci w wieku szkolnym nie zaznała ani nauki, ani wychowania. Dwunastolatki uczono manewrować nożem i drewnianą pałą — narzędziami, którymi Czerwoni Khmerzy najczęściej wykazywali ludzi. Chłopy w tym samym wieku zasilali armię czerwonychkhmerską.

Dzieci khmerskie w jednej z wiosek blisko Phnom Penh; wśród nich ocaleni nauczyciele.

Fot. autorstwa

Na przełomie grudnia 1978 roku i stycznia 1979 powstanie ucięmięzonej ludności — która już przedtem zrywała się do walki, lecz bezskutecznie — obaliło reżim najbardziej krwawy i koszmarny, jaki zna historia współczesna: reżim, którego okrucieństwo można porównać tylko z ludobójstwem hitlerowskim. Przyjechawszy do Kambodży wiosną 1979 roku widziałam, jak zdziesiątkowany, wykrwawiony naród dźwiga się do nowego życia, jak próbuje to życie tworzyć od nowa. Jednym z ważnych elementów tej odbudowy kraju, społeczeństwa, losów ludzkich — są szkoły.

Wyruszamy do wiosek na przedprożu Phnom Penh. Wzdłuż szosy wędrują ludzie — dawni wysiedleńcy, deportowani przez Czerwonych Khmerów w głąb kraju; to ci, co przeżyli, wracają na poprzednie miejsce zamieszkania. Dwie niedaleko od siebie położone wioski — jedna nazywa się Chan Chao, druga — Phlo-eung Ches. Rozmowy z przedstawicielami władz lokalnych i ludnością dotyczą nie dachu nad głową — w tutejszym klimacie nie jest trudno wnieść prowizoryczne domostwo, chatę wspartą na bambusowych słupach ze strzechą krytą liśćmi palmowymi. Ważny jest przede wszystkim ryż na zasiewy i do jedzenia: ryż, którego wciąż jeszcze skąpo, którego nie wystarcza. W czerwonychkhmerskich magazynach pozostała znikoma jego ilość; większość pólów podczas rządów Pol Pot'a i Ieng Sary'ego wędrowała bowiem do Chin z pomocą ryżową dla Kambodży przychodził Wietnam — mimo, że kraj ten borykał się z wielkimi trudnościami gospodarczymi, zwłaszcza po niedawnej agresji chińskiej — oraz Związkiem Radzieckim.

Notując te informacje, nadstawiam uszu. Gwar, który rozpoznam w każdym kraju, choćbym nie znała języka... Takim gwarem daje o sobie znać szkoła.

W naszej wiosce mieszka 720 rodzin — objaśnia przedstawiciel władz gminnych, Sao Sok. — W tym ponad 870 dzieci do lat czternastu. Wśród nich jest około 170 sierot. Nie mamy jeszcze zorganizowanej opieki nad nimi; przysparza to kilka rodzin. Szkoła o czterech klasach powstała kilkanaście dni temu.

Barak bez ścian, słoczone na drewnianych ławach dzieci w różnym wieku — od lat siedmiu (choć są i sześciolatki) do czternastu, a nawet piętnastu. Na razie wszystkie uczą się tego samego — czytania, pisanie, rachunków, bowiem wszystkie były tej nauki pozbawione.

Podczas długotrwałej wojny indochińskiej, w latach 1965 — 1975, widziałam wiele szkół wietnamskich i laotańskich, pracujących w niesłychanie ciężkich warunkach ewakuacji, z dala od większych skupisk ludzkich. Szkoły te funkcjonowały przez całe wojenne dziesięciolecie, działając w schronach, w ziemiankach, w grotach i pieczarach górskich. Widziałam wtedy dzieci zmęczone, wyczerpane, niedożywione — i równie zmęczonych, niedożywionych nauczycieli. Ale nigdy nie widziałam dzieci-skieletów, tak straszliwie wychudzonych jak w Kambodży, dzieci, na których twarzach i ciałach cztery lata głodu i nieludzkiej egzystencji odcisnęły swoje piętno. Dzieci wietnamskie i laotańskie były otoczone opieką, były wychowywane. Nie bały się przybyszów. Dzieci kambodżańskie są wciąż jeszcze spłoszone i nieufne. Trzeba dłuższej chwili i wiele ciepła w oczach, w głosie aby na ich twarzach wywołać nikiły uśmiech.

Nie udało mi się odgadnąć wieku żadnego z nich. Siedmiolatki wyglądają na czteroletnie, dwunastolatki na siedmioletnie. W każdej „klasie” jest ich 50—60. Brak im przyborów szkolnych, uczą się pisać „ogryzkami”, szczątkami ołówków, na strzępach i luźnych kartkach papieru. Tylko

Jak pracują rady zakładowe?
Czy dobrze wypełniają swoje zadania?
Z jakimi borykają się trudnościami?
Co w ich działaniu trzeba usprawnić?
W uzyskiwaniu pełniejszej odpowiedzi
na te, niezwykle istotne
dla działalności związkowej,
pytania dużą rolę odgrywa
Główna Komisja Rewizyjna ZNP,
wizytując rady, zapoznając się
z miejscami z warunkami i efektami ich pracy.
W tym roku, w czerwcu,
terenem penetracji GKR
były rady z trzech województw:
białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego.
Wzięto „pod lupę” zarówno rady duże,
z tradycjami, bo działające
w byłych oddziałach powiatowych
(Augustów, Suwałki, Grajewo,
Dąbrowa Białostocka, Sokółka),
jak i te mniejsze
(w Sztabinie, Jeleniewie, Dowspuździe,
Rajgrodzie i dodatkowo
przy kuratorium suwalskim),
funkcjonujące przeważnie
przy zbiorczych szkołach gminnych.
Chodziło bowiem o przyjrzenie się radom
pracującym w różnych warunkach po to,
aby uzyskać jak najbardziej reprezentatywny
obraz sytuacji

Z WIZYTA W RADACH ZAKŁADOWYCH

Jak zatem w ocenie Głównej Komisji Rewizyjnej przedstawiają się warunki pracy?

Otóż występuje pod tym względem pewna prawidłowość: z reguły w korzystniejszej sytuacji znajdują się rady zakładowe działające w siedzibach dawnych oddziałów. Dysponują one zazwyczaj samodzielnymi lokalami (dwa do trzech pomieszczeń — jak na przykład w Augustowie czy Suwałkach), albo przynajmniej jednym pokojem, dostatecznie wyposażonym i umeblowanym. W dużo gorszych warunkach działają rady mniejsze.

Wystarczy wspomnieć, że często nie mają nawet wydzielonej części pomieszczenia czy chociażby swoich szaf na dokumentację. Wyjątkiem wśród nich są Dowspuździe, gdzie dyrektor szkoły przydzielił radzie samodzielny pokój.

Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, jak bardzo brak własnego kąta utrudnia spokojne, uporządkowane działanie, takie, na którym nam wszystkim zależy. Stąd pierwszy wniosek Głównej Komisji Rewizyjnej, wniosek dotyczący nie tylko badanych rad: **przy rozwiązywaniu spraw lokalowych w zbiorczych szkołach gminnych muszą być uwzględniane potrzeby organizacji związkowej.**

PROBLEMY ORGANIZACYJNE

Ale nie tylko warunki lokalowe, lecz także liczebność rady rzutuje na charakter i formy pracy. Weźmy chociażby sprawę komisji problemowych i sekcji. W małej radzie, liczącej zaledwie kilkadziesiąt osób, nie ma potrzeby powoływania tylu komisji problemowych i sekcji, co w organizacji skupiającej ponad tysiąc członków. Zrozumiałe jest więc, że liczne komisje powołano w radzie augustowskiej (7) czy suwalskiej (6), natomiast tylko dwie do trzech w Dowspuździe czy Rajgrodzie. Nie jest jednak dobrze, jeżeli w radzie zakładowej, jak na przykład w Grajewie, w ogóle nie powołano komisji problemowych, poprzestając na obarczeniu odpowiedzialnością za poszczególne działy pracy członków prezydium. Brak komisji to przecież w tym przypadku nie wykorzystana szansa wciągania do działalności związkowej szerszego aktywu.

Dobrze zorganizowana, rytmiczna praca — to połowa sukcesu. Cieszyć więc może fakt, iż mimo licznych trudności, jakie napotykają szczególnie małe rady — dokumentacja, według oceny zespołów kontrolnych, prowadzona jest właściwie. Wszystkie rady mają plany pracy, dokładny przydział zadań, prowadzą na bieżąco protokoły z posiedzeń plenarnych i prezydiów. W większości rad działalność komisji problemowych i sekcji jest należycie udokumentowana.

Poprawiła się również w stosunku do ubiegłego roku rytmiczność przeprowadzenia zaplanowanych zebrań. W 1979 roku większość rad odbyła posiedzenia plenarne i prezydium zgodnie z harmonogramem. Przy czym, według oceny zespołów kontrolnych, na wyróżnienie pod względem rytmiczności pracy i jakości dokumentacji zasługują rady w Augustowie, Dąbrowie Białostockiej i Sokółce.

I jeszcze jeden powód do zadowolenia: wysoki stopień uzwiązkowienia w badanych radach. W Sztabinie, Sokółce, Jeleniewie, Dowspuździe i w Suwałkach (KOS) wynosi on 100 proc., a w pozostałych radach przekracza 95 proc. Dobrze to świadczy o pracy prezydiów rad zakładowych i

kierowników oddziałów ZG ZNP. Dowodzi, iż rady zyskują sobie coraz większy autorytet.

DZIAŁALNOŚĆ IDEOWO-PEDAGOGICZNA

Stanowi ona jeden z podstawowych nurtów pracy związkowej. We wszystkich badanych radach podejmowano w ostatnim roku — zgodnie z uchwałą i wytycznymi ZG ZNP — problematykę postępu pedagogicznego. Bez zakłóceń i rytmicznie realizowano program szkolenia ideologicznego. Ale nie tylko. Zgodnie z oceną Głównej Komisji Rewizyjnej, we wszystkich radach widoczna jest dbałość o stwarzanie możliwie korzystnych warunków nauczycielom studiującym. A problem to niebagatelny, zważywszy dużą na tym terenie liczbę kształcących się nauczycieli. Na przykład z terenu Dąbrowy Białostockiej studiuje 18 nauczycieli i dalszych 7 otrzymało już skierowania na studia; w Sokółce — 33 pedagogów, w Dowspuździe — 8, w Sztabinie — 12. Rady zabiegają o sprzyjający dla nich rozkład zajęć, o udostępnienie literatury, starają się w miarę możliwości przychodzić im z pomocą materialną.

Wiele jednak jest jeszcze do zrobienia. Wystarczy wspomnieć, że na przykład w Sokółce tylko trzech nauczycieli studiujących otrzymało zniżkę godzin w ubiegłym roku szkolnym, a w tym roku nie korzystał z niej nikt.

Sprawy te wymagają — nie tylko zresztą na tym terenie — kompleksowego rozwiązania, w celu stworzenia korzystniejszych warunków nauczycielom studiującym. Obecna sytuacja nie tylko ujemnie wpływa na stan zdrowia nauczycieli, lecz rzutuje też niekorzystnie na jakość pracy szkół.

KULTURA — TURYSTYKA — KRAJOZNAWSTWO

Większość wizytowanych rad rozwija ożywiającą działalność kulturalno-oświatową, turystyczno-krajoznawczą i rekreacyjną; w mniejszym zakresie — sportową. Formy tej działalności są różne: imprezy okolicznościowe, spotkania, wycieczki, zloty, spływy, zbiorowe uczestnictwo w spektaklach teatralnych, na koncertach itp.

Wiele zależy tu od miejscowych warunków. Na przykład w Augustowie życie kulturalno-oświatowe koncentruje się głównie w Klubie Nauczyciela. Warto przy tym podkreślić, że tamtejszy 60-osobowy zespół wokально-muzyczny „Suija”, działający od 11 lat, jest znany już w kraju. Rada w Augustowie ma także duże osiągnięcia w dziedzinie wychowania fizycznego i sportu. Działają tu sekcje: piłki siatkowej, strzelecka, gimnastyki dla pań, wioślarska, szachowa i inne.

Wszystkie rady zakładowe — również i te mniejsze — mają bogaty dorobek szczególnie w organizowaniu wycieczek, nie tylko po najbliższej okolicy, lecz też do dalszych — Warszawy, Krakowa, Wieliczki, Zakopanego, Oświęcimia, Wrocławia, Poznania i Gdańska. Niektóre rady — na przykład w Augustowie i Suwałkach — pochwalili się mogą zorganizowaniem wycieczek zagranicznych do Czechosłowacji, NRD i na Węgry.

Warto podkreślić, że w rozwijaniu działalności kulturalno-oświatowej służą radom pomocą kierownicy oddziałów ZG ZNP oraz filia OUPiS. Ta ostatnia pomaga zwłaszcza w organizowaniu wycieczek turystyczno-krajoznawczych, stara się o autokary na wojaże.

Z dokumentacji oraz relacji rad zakładowych wynika, że nauczyciele tego regionu czynnie włączają się w życie społeczno-polityczne i kulturalno-oświatowe środowi-

ska. Dotyczy to wszystkich bez wyjątku rad. Ilustracją tego mogą być dane z rady zakładowej w Dąbrowie Białostockiej, gdzie społeczne funkcje sekretarzy w organizacjach partyjnych pełni 13 nauczycieli; w ORMO działa 10, we FJN — 4; w ZSMP — 10; w TKKS — 9; w TPD — 26; w ZNP — 50; w PCK — 11; w TPRP — 14. Poza tym liczni koledzy pełnią funkcje radnych, a 6 — prezesów TWP.

SPRAWY SOCJALNO-BYTOWE

Z relacji wszystkich zespołów kontrolnych wynika, że działalność socjalno-bytowa znajduje się w centrum uwagi prezydiów rad zakładowych. Przy tym, jako naczelną, traktowaną jest problem mieszkaniowy. Zespoły stwierdziły, że na terenie wszystkich rad następuje stała poprawa warunków mieszkaniowych. Coraz większa liczba rodzin nauczycielskich zajmuje lokale o dobrym standardzie, dotyczy to również środowisk wiejskich i osiedlowych. Dość dobrze na przykład przedstawia się sytuacja w Grajewie i Dąbrowie Białostockiej.

Ale potrzeby są wciąż jeszcze bardzo duże. Nadal w Augustowie i Suwałkach duża liczba pedagogów oczekuje na poprawę sytuacji mieszkaniowej, w Sokółce czeka na mieszkanie 11 osób.

O trudnościach mieszkaniowych świadczyć może fakt, iż duża jeszcze liczba nauczycieli dojeżdża do pracy. Zjawisko to występuje również na terenie mniejszych rad. I tak w Jeleniewie dojeżdża do pracy 10 nauczycieli, w Sztabinie — 5, w Rajgrodzie — 2.

W środowisku wiejskim dość duża jeszcze liczba rodzin nauczycielskich zajmuje mieszkania wynajęte u gospodarzy (na przykład w Rajgrodzie — 20, w Jeleniewie — 22), które w większości nie zapewniają niezbędnych wygód. Nigdzie natomiast nauczyciele nie dopłacają do mieszkań, choć koszty wynajmu są dość często wysokie (wahają się od 300 do 1500 zł). W tej sytuacji prosty rachunek ekonomiczny powinien skłaniać miejscowe władze do podejmowania budownictwa mieszkaniowego dla nauczycieli.

Na terenie mniejszych rad spora liczba nauczycieli mieszka w budynkach szkolnych, najczęściej adaptowanych na ten cel, lub w domach nauczyciela. Na przykład w Sztabinie 20 rodzin mieszka w budynkach szkolnych, a 5 w Domu Nauczyciela.

Warto odnotować, że zainteresowanie budownictwem indywidualnym znacznie zmalało ze względu na wzrost kosztów budowy oraz mniejszą atrakcyjność ekwiwalentów. Wysokość tych ekwiwalentów ustalona została uchwałą Rady Ministrów nr 72 z 1968 roku. Obecnie kwoty te mają o wiele mniejszą wartość i nie odpowiadają cenom wynajmu mieszkań. Stanowi to hamulec przy podejmowaniu budownictwa indywidualnego. Wydaje się więc

potrzebna weryfikacja wysokości tych ekwiwalentów.

Ci nauczyciele, którzy jednak decydują się na trud wybudowania własnego domku, korzystają — poza pomocą kredytową państwa — z funduszy pomocy kredytowej ZNP. Z tego funduszu oraz z zakładowego funduszu mieszkaniowego udziela się pomocy także nauczycielom, którzy remontują domy i mieszkania, modernizują je, odnawiają bądź ponoszą większe wydatki na ich wyposażenie. Z tego źródła udziela się również pomocy na uzupełnienie wkładów mieszkaniowych i budowlanych. Zakładowy Fundusz Mieszkaniowy wykorzystywany jest w większym stopniu w miastach (na przykład w Augustowie i Suwałkach w 100 procentach). Zdaniem rad zakładowych — a taka jest też opinia nauczycieli — pomoc w tej formie jest znaczna i zasługuje na uznanie.

Podkreślenia wart jest fakt, że badane rady zakładowe są rzeczywistym współpodarzem funduszu socjalnego. One współdecydują o formach pomocy socjalnej dla członków ZNP. W efekcie w 1979 roku w radzie przy kuratorium w Suwałkach, w Jeleniewie, Dowspuździe, Rajgrodzie i w Sokółce wykorzystano ten fundusz w 100 procentach. Wysoki wskaźnik osiągnęły także Suwałki, Augustów, Grajewo i Dąbrowa Białostocka. Również w 100 procentach lub prawie w 100 wykorzystywany jest fundusz zdrowotny.

Kłopoty natomiast występują z zaopatrzeniem nauczycieli pracujących na wsiach i w małych osiedlach w artykuły pierwszej potrzeby. Nieco łagodzi sytuację systematyczna współpraca rad zakładowych z miejscowymi władzami i przedstawicielami handlu.

Warto podkreślić, że wizytowane przez Główną Komisję Rewizyjną rady nie sygnalizują większych kłopotów z zaspokajaniem potrzeb na leczenie sanatoryjne i na wczasach leczniczych. A wszystkie wnioski o przydział wczasów były zadowolone w ubiegłym roku pozytywnie. W tym roku również nie odnotowano trudności. Zasluga w tym filii OUPiS w Białymstoku, a także niektórych rad dysponujących własnymi obiektami. W pomyślnym rozwiązaniu tych spraw pomaga także prowadzona przez rady akcja wymiany wczasów z innymi regionami.

FINANSE I GOSPODARKA

Zespoły kontrolne (przy udziale instruktorów-rewidentów) wnikliwie badały działalność finansowo-gospodarczą rad zakładowych. Szczegółowo przeanalizowano budżet i jego realizację, przeprowadzono kontrolę finansowo-majątkową, kontrolę dokumentów finansowych i rachunków bankowych, kontrolę wypłat zasiłków statutowych, badano bilans za rok 1978 oraz sprawdzono inwentarz.

Jak wypadła ocena? Otóż we wszystkich radach zakładowych zostały prawidłowo opracowane preliminarze budżetowe i w ustalonym trybie zatwierdzone. Nie we wszystkich natomiast realizacja budżetu w 1979 roku przebiegała rytmicznie. Nigdzie jednak nie stwierdzono nieprawidłowości merytorycznych i zasadniczych braków formalnych. Kontrola bieżącej działalności finansowej i gospodarki finansowej w roku 1979 wykazuje w większości rad postęp w zakresie rytmiczności. Całość dokumentacji finansowo-budżetowej i finansowo-gospodarczej w badanych radach jest prowadzona w 1979 roku na bieżąco, zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Na podstawie spostrzeżeń i opinii zespołów kontrolnych można stwierdzić, że rady zakładowe właściwie dysponowały posiadanymi środkami na finansowanie działalności organizacyjnej i merytorycznej.

KILKA WNIOSEKÓW

Kontrola działalności rad zakładowych na terenie województw: suwalskiego, białostockiego i łomżyńskiego oraz poprzednie badania w kilku województwach pozwalają na sformułowanie ogólniejszej oceny działalności rad zakładowych.

Mimo istniejących jeszcze braków, systematycznie usprawnia się gospodarka rad i doskonalą ich działalność organizacyjną i merytoryczną. Rady stają się rzeczywistymi i konstruktywnymi partnerami w pracy szkół i placówek oświatowo-wychowawczych. Poszerza się aktywność społeczna rad, umacnia ich pozycja jako reprezentanta interesów członków Związku. Wzrasta również ranga i rola rad zakładowych oraz ogółu nauczycieli w środowisku pozaszkolnym. Doceniany jest wkład, jaki nasze rady i aktywni nauczyciele wnoszą w życie i rozwój swoich środowisk.

KAZIMIERZ MAKOWSKI
wiceprzewodniczący GKR ZNP

W lustracji rad zakładowych, przeprowadzonej podczas wyjazdowego plenarnego posiedzenia Głównej Komisji Rewizyjnej, wzięli udział instruktorzy-rewidenci ZG ZNP. W pracach tych uczestniczyli również: wiceprezes ZG ZNP — Władysław Wawrzynowski oraz kierownicy oddziałów Zarządu Głównego: z Białegostoku — Stefan Myszczyński, z Łomży — Mirosław Moraczewski i z Suwałk — Stanisław Słimko.

Z członkami GKR oraz uczestnikami zajęć w Augustowie spotkał się przewodniczący Centralnej Komisji Rewizyjnej Związków Zawodowych — tow. Edward Walaśczyk, który poinformował o najważniejszych aktualnych zadaniach związków zawodowych i Komisji Rewizyjnych. Tow. E. Walaśczyk mówił z uznaniem o dorobku organizacji nauczycielskiej i ogółu pedagogów w okresie 75-letniej działalności, podkreślając wielki wkład nauczycieli w odbudowę i rozwój Polski Ludowej na przestrzeni 35-lecia.

W WAKACYJNYM NASTROJU

Wszyscy lubimy wakacje; my, pracownicy redakcji — także. Wprawdzie gazeta musi wychodzić, pracujemy więc nadal na pełnych obrotach, może nawet, z racji urlopów, więcej niż w ciągu roku szkolnego, ale mimo to jakoś przyjemniej. Zastanawiam się, w czym tkwi przyczyna i dochodzę do wniosku, że w Was, Drodzy Czytelnicy, a właściwie w treści Waszych listów, które są dla nas nie tylko bezpośrednią formą kontaktu, lecz również odbiciem Waszych zainteresowań i nastrojów.

Otóż, w czasie wakacji do minimum zmniejsza się liczba korespondencji o treściach skłaniających do smutnych refleksji. Mniej napływa skarg na złe stosunki w zespole, mniej zażół i pretensji kierowanych pod adresem bezpośrednich zwierzchników, władz oświatowych i związkowych.

Nikt sobie i nam w czasie wakacji nie zaprzęta głowy związanymi z pracą kłopotami. Nastroj listów wyraźnie się zmienia na swobodny, wczasowy, powiedziałabym, nawet liryczny. Czyta się je z prawdziwą przyjemnością, na pełnym luzie, bez cienia nerwowości, która towarzyszy nierzadko lekturze korespondencji, jaką otrzymujemy w ciągu roku szkolnego. Bo, jakże się tu nie denerwować, kiedy nagle czytelnik zaskakuje się pytankiem, na które czasem nawet wytrawny prawnik nie znajduje odpowiedzi. A ty konkretnej informacji udzielić musisz, bo jeśli nie, to po co właściwie okupujesz stół w redakcji?

Lubimy więc wakacje i lubimy Wasze wakacyjne listy. Biorę na przykład do ręki list pierwszy z brzegu i czytam:

„Z mieszanymi uczuciami wybierałam się do Cieplic, bez większego entuzjazmu, gdyż otrzymałam skierowanie do sezonowego domu sanatoryjnego, a więc przypuszczalnie zlokalizowanego w internacie. Znam te warunki z Buska i wiem, że nie ma się czym cieszyć.

Jakież było moje zdumienie, gdy po wielogodzinnej podróży zobaczyłam miły domek wśród kwiatów, przestronny hall z dywanami, kinkietami, fotelami. Wszędzie pełno kwiatów, zapach świeżości, ład i porządek. Od przekroczenia progów tego domu wyczuwa się serdeczność i opiekuńczość. Gospodarz stara się wręcz odgadnąć życzenia kuracjuszy. Tutaj czuje się człowiek oczekiwany gościem, podejmowanym rodzinie, z życzliwością i troską”.

I tak dalej w tym duchu. Koleżanka Daniela Penca z Prudnika, autorka cytowanego listu, chwali wyżywienie, wyposażenie pokoi, organizację wycieczek i imprez rozrywkowych, a nade wszystko serdeczną atmosferę, jaką stwarza dyrektor „Szarotki”, Jerzy Zalewski i podległy mu personel. Kuracja w tak sprzyjającym klimacie będzie na pewno skuteczna.

Sięgam po następny list: „Pragnę serdecznie podziękować redakcji za zamieszczenie mojego listu w sprawie przydziału wczasów i zawiadomić, że na skutek tego otrzymaliśmy (ja i moja żona) skierowanie na wczasy do Dusznik” — pisze kolega Marian Banaszek z Ostrowca Świętokrzyskiego.

Czy nie miła lektura! Towarzyszy jej w dodatku uczucie satysfakcji, że za naszą przyczyną jeszcze jedna rodzina nauczycielska spędzi — mamy nadzieję — przyjemnie czas w pięknym górskim kurorcie.

Jeszcze kilka kolejnych korespondencji z opisem atrakcyjnego wypoczynku i nagle nastroj błogiemu zadowolenia z lektury nieco przygasa. Okazuje się bowiem, że, niestety, nie każdemu dane jest odpocząć w warunkach sprzyjających pełnemu relaksowi. Na przykład koleżanka Maria Pionka z Łodzi trafiła do sanatorium w Ciechocinku, gdzie trwa rozbudowa jadalni, w związku z czym posiłki jada w świetlicy, a program telewizyjny ogląda w ciasnym pomieszczeniu klubowym i przyległym korytarzu pełnym ruchu i rozmów zagłuszających emisję.

To na pewno być musi denerwujące. Czy nie słusznie prace budowlane przenieść na inne miesiące? Tylko pytanie — na jakie, skoro sanatorium czynne jest przez okrągły rok? Niech więc nas krzepi myśl, że następni kuracjusze zażywać już będą pełnego komfortu. Oczywiście, szczęśliwcy, którzy się tam znajdują. Bo, sądząc z lektury listów, rozdział skierowań na wczasy i do sanatoriów nadal budzi zastrzeżenia.

Oto, co pisze na ten temat kolega Mieczysław Czechowski z Kamieńca Żabkowickiego: „W czerwcu bieżącego roku jedna z koleżanek otrzymuje pojedyncze skierowanie na wczasy, a prosiła o dwa, dla siebie i męża. Dyrektor gminny sporządził zapotrzebowanie, lecz otrzymał nie to, o co prosił. Kuratorium tłumaczy się, że taki rozdział nadesłał Ośrodek Usług Pedagogicznych i Socjalnych. Słowem — galimatias. A kto cierpi na tym najbardziej? Oczywiście, dyrektor, do którego jako do bezpośredniego zwierzchnika nauczyciele zgłaszają pretensje.

Są to więc żale bynajmniej nie bezpodstawne. Czytelnicy nie bez racji podnoszą sprawy, którym instancje związkowe powinny poświęcić więcej uwagi. Rozdział swoje dary sprawiedliwie, docierać z nimi w najbliższy teren, bo i tam żyją nauczyciele ciekawiejszego świata, a nierzadko zasługujący na szczególne wyróżnienie.

Są więc i w treści tych wakacyjnych listów pewne cienie. Nie występują one jednak w tak ostrej formie, jak w ciągu roku. Zapewne dlatego, że pisane są w atmosferze bardziej lub mniej udanego, ale przecież wakacyjnego relaksu. Toteż czytać je przyjemnie.

DANUTA BUKALOWA
kierownik działu listów i interwencji

Czytelnicy mają głos

LIST TYGODNIA

BEZ PRAWA DO ODPOCZYNKU

Zona moja od 19 lat pracuje w zawodzie nauczycielskim. Zajmujemy mieszkanie służbowe w budynku Szkoły Podstawowej w Powidzu. Współzycie z dyrektorem szkoły i nauczycielami układa się dobrze. Wejście do mieszkania mamy z korytarza szkolnego, a obok przez ścianę i na piętrze znajdują się klasy. Mimo takiego usytuowania ani dzieci szkolne nam, ani my im nie przeszkadzamy i atmosfera jest bardzo dobra.

Ale w czasie wakacji w budynku szkolnym i pozostałych obiektach organizowany jest „obóz młodzieżowy”. Wszystkie klasy przeznaczone na sypialnie dla młodzieży (młodzież w wieku od 15—19 lat), na piętrze dziewczęta, a na parterze chłopcy. Co drugi dzień wieczorem w świetlicy szkolnej odbywają się dyskoteki, w których biorą udział obozowicze oraz miejscowa młodzież. Zabawy te trwają dłużej niż do godz. 22.00 i odbywają się z wielkim szumem i hałasem. Obozowicze, którzy nie biorą udziału w dyskotekach, organizują sobie zajęcia własne jak: wyskakiwanie z klas przez okna, zabawa gaśnicami, bieganie po korytarzach i klasach aż sufit trzeszczy. Po skończonej zabawie trwa dzieleńie się wrażeniami, krzyki i hałas prawie do północy. Interweniowałem w tej sprawie u kierownika obozu, zapewnił, że przykróci te wybryki, tymczasem nic się nie zmieniło.

Regulamin zabrania palenia papierosów i picia alkoholu, ale młodzież pali prawie oficjalnie, wszędzie pełno niedopałków, rano na boisku szkolnym walają się puste butelki po piwie i winie.

Zona chorowała na zapalenie korzonków nerwowych, ma silną nerwicę i taka atmosfera niedobrze wpływa na jej samopoczucie. Mamy czworo dzieci i nie możemy pozwolić sobie na wyjazd na wczasy. Fakty, o których piszę, są do sprawdzenia. Prosiłbym Re-

dakcję o pomoc. Osobiście dziwię się Kuratorium Oświaty i Wychowania w Koninie, że wyraża zgodę na organizowanie takiego obozu w budynku szkolnym, gdzie mieszka nauczycielka z rodziną, której też należy się odpoczynek.

Metody wychowawcze stosowane przez kierownictwo i wychowawców obozu wydają się dosyć dziwne. Świadome łamanie regulaminu obozowego i wszelkie ustępstwa na rzecz młodzieży nie przynoszą chwały organizatorom. Ale wychowawcy są w tym samym wieku, co ich podopieczni (nawiasem mówiąc w ubiegłym roku byli sami uczestnikami obozu). Poprzednio, kiedy wychowawcami zlokalizowanych tu kolonii byli nauczyciele, przestrzegano regulaminu i nie zakłócano nam spokoju.

WOJCIECH KOWNACKI
Powidz

OD REDAKCJI: Wakacje to dla uczniów wyzwolenie od szkolnego rygoru, okres pełnego relaksu i swobody. Mają do tego pełne prawo po całorocznej wyczerpującej pracy z książką. Nikt też nie wymaga, aby w tym czasie stawiano tamy naturalnej młodzieńczej żywiołowości.

Ale istnieją pewne granice, których przekraczać nie wolno. Żyjemy wśród ludzi i obowiązują nas określone zasady współzycia społecznego. Jeśli młodzież tych prostych prawd sobie nie uświadamia, to w żadnym razie nie mogą zapominać o nich wychowawcy. A wychowujemy wszędzie, nie tylko w szkole, ale w każdym miejscu i w każdych okolicznościach, a więc również i na obozie.

W budynku szkolnym zajęty przez obóz mieszka rodzina nauczycielska, która ma takie samo prawo do odpoczynku jak uczniowie. Jakaż to wspaniała okazja do praktycznego wpajania młodzieży zasad współzycia z otoczeniem, uprzejmości, życzliwości, dobrych manier. I tego mamy prawo wymagać od organizatorów młodzieżowego wypoczynku.

Żyjemy przekonanie, że Kuratorium Oświaty i Wychowania w Koninie, które zresztą zostało przez autora listu poinformowane o sytuacji, zbada sprawę i wyciągnie odpowiednie wnioski.

D.B.

ZACZEŁO SIĘ OD WYMIANY LISTÓW

Dziesięć lat minęło od nawiązania współpracy między Technikum Mechanicznym w Białymstoku a Winckelmann-Heimborschule Seehausen-Altmärk w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Pierwsze kontakty ograniczały się do wymiany listów. Wreszcie latem 1969 roku pierwsza 30-osobowa delegacja naszej młodzieży wyjechała do NRD, a grupa tamtejszych uczniów przyjechała do Polski.

Początkowo z obu stron było dużo obaw, niepokojów, może nawet nieufności. Dwa tygodnie wspólnej pracy w NRD i w Polsce bardzo zbliżyły młodzież. Delegacja naszej młodzieży zwiedziła góry Harzu, Magdeburg, Schwerin, Poczdam i Berlin. Delegacja NRD — Suwałszczyznę, Augustowszczyznę, Hajnowkę, Białowieżę, Białystok i Warszawę.

Początkowe trudności językowe łagodziła znajomość języka rosyjskiego nauczyciela z obu szkół. Były też próby porozumiewania się w językach ojczystych sąsiadów. Jednak napotymano tutaj wielkie trudności. Stało się jasne, że następne wymiany delegacji muszą być lepiej przygotowane. Rozpoczęto systematyczne nauczanie języka polskiego w Seehausen i niemieckiego w Białymstoku.

Opracowano też wspólnie plan imprez, tematy do dyskusji, rozgrywki sportowe i imprezy kulturalne. Do tradycji weszło rozgrywanie meczów w piłkę nożną i siatkową z ZGS Seehausen i Traktorem Arendsee. Wspólne ogniska, występy artystyczne dla miejscowej ludności, a nawet własna piosenka, do której słowa napisał G. Grutzmacher — nauczyciel z Seehausen, a muzykę A. Wojtach — u-

czeń naszej szkoły. Piosenka śpiewana jest przez młodzież obu szkół w języku polskim i niemieckim.

Współpraca zaczęła rozszerzać się i obejmować coraz większy krąg ludzi. Podpisano wspólną umowę o współdziałaniu między szkołami, a w 1970 roku po raz pierwszy nastąpiła wymiana delegacji nauczycielskich. Pierwsze spotkania, koleżeńskie hospicja, lekcje, pierwsze dyskusje, refleksje i porównania.

W Seehausen zwracano uwagę na dużą aktywność uczniów na lekcjach, koleżeńskie traktowanie ich przez nauczycieli, rozbudowane zajęcia pozalekcyjne. Poza szkołą organizowano nam spotkania z władzami i społeczeństwem oraz zwiedzanie NRD. Ich wizyty wyglądały podobnie. Koleżeńskie lekcje, wymiana poglądów, wspólne dyskusje i zwiedzanie kraju.

I tak weszła do tradycji coroczna wymiana delegacji uczniowskich i co dwa lata wymiana delegacji nauczycielskich. Wizyt coraz lepiej przygotowanych coraz bardziej pożytecznych. Nauczyciele przekonali się, że dzięki współpracy można z dorobku swoich kolegów wiele skorzystać, a także poznać ludzi w ich codziennej pracy, radościach i kłopotach.

W ciągu dziesięciu lat ponad 350 osób z obu zaprzyjaźnionych szkół Polski i NRD poznało bliżej swoich sąsiadów

I październiku 1979 roku zostanie podpisana nowa umowa o dalszej współpracy. W tym też dniu odbędzie się w Seehausen uroczyste nadanie nazwy jednej z ulic. Budowała ją nasza młodzież, ulica otrzymała nazwę Białostocka.

WŁADYSŁAW GRADZKI
Białystok

PRZYNOSZĄC NAUCZYCIELOWI KSIĄŻKĘ

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Katowicach obchodziła w roku ubiegłym 50-lecie swego istnienia. Tyle bowiem lat miało do utworzenia Biblioteki Śląskiego Instytutu Pedagogicznego.

Jubileusz ten stwarza znakomitą okazję zarówno do sięgnięcia w przeszłość, jak też do porównania tego, co się osiągnęło dzisiaj, z tym, co się osiągnąć powinno. Wprawdzie przedwojenna zaledwie 11-letnia działalność biblioteki ma już dzisiaj znaczenie tylko dla historyka, jednak warto przypomnieć tutaj niektóre fakty chociażby po to, aby pokazać ogrom zmian.

Placówka ta rozpoczęła swoją działalność od... 400 książek kupionych za pieniądze uczestników kursów języka polskiego i pedagogiki, na których wykładowcą był między innymi profesor Kazimierz Nitsch. W 1936 roku, czyli osiem lat później, było ich już 6 tysięcy. Dominowały dzieła z zakresu pedagogiki, socjologii, psychologii i innych pokrewnych dziedzin wykładanych w Instytucie Pedagogicznym. Choć naturalnie była także literatura piękna.

Książki te odgrywały ogromną rolę na Śląsku, gdzie po kilkunastoletniej niewoli istniał prawdziwy głód polskiego słowa, szczególnie wśród tych, którzy sami mieli uczyć. Do biblioteki katowickiej przyjeżdżał często jakiś nauczyciel z oddalonych miejscowości i zabierał książki dla wielu koleżanek i kolegów. Tak więc za nazwiskiem jednego czytelnika kryło się często kilka, a nawet kilkanaście osób. Poza tym niektórym czytelnikom wydawano książki pocztą.

W 1939 roku Niemcy, chcąc zniszczyć całkowicie księgozbiór, przeznaczyli go na przymiar w fabryce papieru w Mikołowie. Część książek udało się jednak ukryć w kominach odwietrznych gimnazjum przy ulicy Mickiewicza (obecnie gmach Liceum Ogólnokształcącego im. A. Mickiewicza) w Katowicach. Ukryli je dwaj woźni — Feliks i Wincenty Kłosowie oraz nauczyciel — Józef Grzbiela.

Po wojnie księgozbiór biblioteki kompletowano w zasadzie od początku, z trzech różnych źródeł — między innymi księgozbiór kuratorium — co wymagało, oczywiście, niemałego wysiłku. Praca trwała wtedy — jak wspominają pracujące nadal w tej placówce Maria Grabska i Zofia Rutkowska — od rana do nocy. Nikt nie liczył jednak godzin i nie pytał o pieniądze.

W 1950 roku zlikwidowano Instytut Pedagogiczny i utworzono w Katowicach Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Zbiory biblioteki zostały wówczas podporządkowane władzom oświatowym, najpierw pod nazwą Centralnej Biblioteki Pedagogicznej, a potem Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej. W tym układzie i pod tą właśnie nazwą przetrwała do dnia dzisiejszego.

Po 1950 roku zaczął się gwałtowny rozwój placówki. Zaczęto tworzyć filie biblioteki w powiatowych i wydzielonych miastach województwa katowickiego; nauczyciele pracujący w tzw. terenie nie musieli już jeździć po książki do Katowic. Takich bibliotek-filii jest obecnie w województwie 23 i tworzą one wraz z Pedagogiczną Biblioteką Wojewódzką w Katowicach — jednolitą sieć bibliotek pedagogicznych, dobrze zaspokajających potrzeby czytelników nauczycieli i innych pracowników oświatowych naszego regionu. Obecnie liczą ponad 376 tys. woluminów, w tym 359 tys. książek i 17 tys. czasopism. W latach 1955—1977 liczba czytelników zwiększyła się pięciokrotnie. Wzrost czytelnictwa jest szczególnie widoczny w filiach terenowych, a zwłaszcza w Bytomiu i Będzinie.

Zgodnie z charakterem bibliotek, ich czytelnikami są przeważnie nauczyciele podnoszący swe kwalifikacje na kursach Instytutu Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych oraz w ramach nauki własnej. Kolejną grupę czytelników, której udział stale rośnie, stanowią studenci Uniwersytetu Śląskiego.

Lecz księgozbiór bibliotek województwa katowickiego jest w skali kraju największy, ale wynika to przede wszystkim z dużego terytorialnego zasięgu, bowiem Katowickiej Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej podlega największa — w porównaniu z innymi pokrewnymi placówkami — liczba filii w terenie. Natomiast księgozbiór biblioteki w Katowicach ustępuje wielkością zbiorom bibliotek w takich miastach wojewódzkich, jak Kraków, Poznań, Wrocław, Łódź, Opole, Kielce, Lublin czy Rzeszów. Jest to paradoks pozostający w sprzeczności z rozwojem i rangą Katowic, miasta będącego nie tylko dużym ośrodkiem przemysłowym, lecz również naukowym i akademickim.

Tymczasem obciążenie tutejszych bibliotek i ich zagęszczenie przekracza średni poziom krajowy. Jeżeli na jednego bibliotekarza w kraju przypadło w 1977 roku przeciętnie 5300 woluminów, to w województwie katowickim — 6200. Podobnie rzecz się ma z liczbą czytelników. Bibliotekarze na Śląsku są więc bardziej obciążeni pracą niż ich koledzy z innych regionów.

Czytelnia Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Katowicach należy do najbardziej zagęszczonych w kraju. Jeżeli w 1977 roku na jedno miejsce w czytelnicy bibliotek wojewódzkich przypadło średnio 266 odwiedzin czytelników, to w Katowicach — 411. Odwiedzający czytelnicy w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej muszą więc dłużej czekać na pierw miejsce, potem zrealizowanie zamówienia. Mówi to wiele o warunkach lokalowych biblioteki. Szczególnie kłopotliwe są również warunki lokalowe biblioteki w Mysłowicach, Pszczynie, Bytomiu i Chrzanowie.

Tak więc ciasnota, brak dostatecznej powierzchni lokalowej stanowi u nas problem numer jeden; rozwiązanie go jest zadaniem szczególnie pilnym. Po pierwsze dlatego, że tutejsze biblioteki mają już teraz warunki gorsze niż w innych regionach kraju, a po drugie — ze względu na potrzeby współczesnego nauczyciela i na bardzo dynamiczny rozwój kulturalny tego regionu.

KRYSTYNA LOCH
Katowice

WAKACYJNY MAGAZYN „RELAKS”

NIKT SIĘ NIE NUDZI

Zwykle pierwsze dni na wczasach upływają nam na sprawach organizacyjnych: zakwaterowanie, zapoznanie się ze współlokatorami, a potem już następne dni toczą się zwykle podobnie, typowo, jednostajnie. Czy tak być musi? Chciałabym na przykładzie naszego ogniska emerytów pokazać, jak można zorganizować sobie okres wypoczynku na wczasach.

W tym roku wiosną nadarzyła się nam okazja zbiorowego wyjazdu siedemnastu osób na wczasy do Międzyzdrojów. Zarząd naszego koła PTTK, który znalazł się wśród tych wczasowiczów, opracował dla naszej grupy program pobytu. Wprawdzie Przedsiębiorstwo Turystyczno-Krajoznawcze „Pomerania” przedstawiło nam swoje propozycje, ale szybko zorientowaliśmy się, że nie wszystkie imprezy „Pomeranii” będą dla nas dostępne ze względu na ogromną liczbę zainteresowanych wczasowiczów z całych Międzyzdrojów przy skromnych możliwościach tego przedsiębiorstwa.

Ułożyliśmy więc kalendarz własnych imprez. W programie znalazły się: rejs statkiem po morzu; zwiedzanie autokarem

wyspy Wolin; wypad do Niemieckiej Republiki Demokratycznej; dwie wieczornice dla naszych członków; wycieczka do Wisieki; dwa koncerty w miejscowym amfiteatrze; kilkakrotne wypad do miejscowego kina.

Trzeba przyznać, że czas mieliśmy całkowicie wypełniony. Nawet przejściowo gorsza pogoda nie przeszkodziła nam w realizacji naszych planów. Dużo zwiedziliśmy i dużo zobaczyliśmy ciekawych rzeczy. A nasze wieczornice, zorganizowane własnymi siłami, stały się zebraniem o niemal rodzinnej atmosferze, wywołującej pomysłowość wczasowiczów i nieraz ukryte ich zdolności artystyczne. Nikt z nas nie nudził się, a ostatni dzień pobytu w Międzyzdrojach wszyscy skwitowali pytaniem: — To już koniec wczasów? Tak szybko minęły te dwa tygodnie?

Kreśląc przykład z życia naszego ogniska, chcę zachęcić inne ogniska do zakładania na swoim terenie kół PTTK. Działalność ich ułatwia poznanie zabytków naszej kultury, stwarza warunki do odczuwania się od monotonnego trybu życia, zapewnia fizyczny i psychiczny relaks. W sprawach organizacyjnych chętnie służę informacjami i pomocą koleżeńską.

EUGENIA KRUSZEWSKA
prezes Koła PTTK nr 12
w Warszawie
ul. Namysłowska 1

POCZTÓWKA Z WAKACJI

Wśród tej obfitej korespondencji, jaka napływa do redakcji, szczególnie mile dla nas są pocztówki z wakacji. Pewnie dlatego, że nadsyłane bezinteresownie. Ot, po prostu kilka ciepłych słów, podyktowanych chyba poczuciem więzi z „Głosem”. To cieszy.

Oto kartka z ZAKOPANEGO: „Pozdrowienia z I Ogólnopolskiego Rajdu Górskiego Nauczycieli „Tatry-79” przesyłają uczestnicy V trasy”. A pod tymi słowami kilkanaście podpisów.

Na kolorowej pocztówce z PRAGI CZESKIEJ kol. STANISŁAW RZESZOWSKI pisze: „Pozdrowienia z najpiękniejszego ze znanych mi miast”.

A małżeństwo SKOWRON-SCY z WŁOCŁAWKA dają o sobie znak życia kartką z Mrzeżyna: „Serdeczne pozdrowienia dla „Głosu” z nad Bałtyku. Pogoda cudowna, powie-

trze zdrowe, ceny słone, ale wypocząć można. Zachęcenie przez „Głos”, gramy z sąsiadami w piłkę przed swoją „willa”, którą obrotowy właściciel wysykal z budki kiosku „Ruch”, ale cena za to przystępna. Jedną tylko myśl zakłóca nasz wypoczynek, że przy rozdziale wczasów traktowani jesteśmy jak jedna osoba. A do pracy jest nas dwoje nauczycieli. Jeszcze raz pozdrawiamy”. Obok tych słów narysowana mała budka, z której wystają nogi. Pod rysunkiem komentarz: „Mąż jest za długi, więc nie może się cały w „willi”. A więc humor dopisuje — brawo!

Wszystkim Wam, Kochani, którzy o nas pamiętacie w czas wakacyjnego relaksu, serdecznie dziękujemy. I życzymy jak najlepszego, naprawdę udanego wypoczynku, dobrych humorów, wielu bogatych wrażeń.

TU CENTRUM INFORMACJI WZASOWEJ

Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego — Wydział Wczasów i Lecznictwa, Warszawa, ul. Spasowskiego 6/8 (tel. 26-10-11 wewn. 235) dysponuje wolnymi skierowaniami na 14-dniowe wczasy wypoczynkowe:

W JASTRZĘBIEJ GÓRZE — w terminie od 2 do 15 września br. Zakwaterowanie w pokojach dwu- i trzyosobowych. Cena jednego skierowania do pokoju dwuosobowego wynosi 2400 zł, a do pokoju trzyosobowego 2200 zł.

W JACHRANCE w terminie do 30 sierpnia do 12 września i od 15 do 28 września br. Zakwaterowanie w pokojach dwu- i trzyosobowych. Cena jednego skierowania do pokoju dwuosobowego wynosi 2600 zł, a do pokoju trzyosobowego 2400 zł.

Przypominamy, że skierowania ulgowe wydają wyłącznie bezpośredni dysponenti funduszu socjalnego, tj. zakłady pracy. W związku z tym osoby, które w roku bieżącym nie korzystały z dopłat z funduszu socjalnego i pragną uzyskać skierowanie ulgowe, powinny kierować zgłoszenia poprzez zakład pracy lub radę zakładową.

TYM RAZEM W TARNOWSKICH GÓRACH

Grochówka przygotowana nawet przez najlepszego kuchmistrza nie smakuje tak, jak grochówka z kotła wojkowego. Wspaniałe to było widowisko, gdy przy trzech kuchniach polowych ponad 1500 nauczycieli z rodzinami ustawili się z metalowymi talerzami w lesie, w Ośrodku Harcerskim w Borowianach koło Tarnowskich Gór. Każdy turysta otrzymał od kucharza solidną porcję grochówki, kromkę razowego chleba i kubek czarnej kawy.

Sport, a szczególnie turystyka wśród nauczycieli województwa katowickiego, znajduje coraz większą liczbę zwolenników. Jest to rezultat wzrastającej aktywności rad zakładowych ZNP, wspieranych w tej działalności przez Ośrodek Usług Pedagogicznych i Socjalnych w Katowicach.

Szczególnym powodzeniem wśród pedagogów i ich rodzin cieszą się coroczne zloty turystyczne nauczycieli województwa katowickiego. Są one organizowane od wielu lat — dla uczczenia Dnia Zwycięstwa. W bieżącym roku Ośrodek Usług Pedagogicznych i Socjalnych przy współudziale Wojska Polskiego i Związku Harcerstwa Polskiego zorganizował IX Zlot Turystyczny nauczycieli województwa katowickiego, pod hasłem: „Ziemia Tarnogórska w tradycji i w 35-lecie PRL”.

Gospodarzami zlotu byli: Rada Zakładowa oraz Inspektorat Oświaty i Wychowania w Tarnowskich Górach, którzy z tej roli wywiązali się nadzwyczajnie. Organizatorzy spotkali się z ogromną życzliwością i poparciem u tarnogórskich władz politycznych i administracyjnych, a sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR, tow. Czesław Wyleżek był opiekunem zlotu i brał w nim oficjalny udział. W imprezie uczestniczyli też i wędrowali razem z nauczycielami przedstawiciele Wydziału Nauki i Oświaty Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Zarządu Głównego ZNP, Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz WRZZ.

Komenda hufca tarnogórskiego udostępniła na uroczyste zakończenie zlotu swój piękny ośrodek w Borowianach, a komendant Hufca włączył się do zespołu organizatorów-gospodarzy. W imprezie wzięła udział delegacja związkowców z Opola i Rady Zakładowej z Żywca (województwo Bielsko-Biała).

W tym roku, zwiedzaniu na każdym kroku towarzyszyła historia. Bo Tarnowskie Góry to kopalnia górnictwa polskiego; już w 1526 roku książę Jan Opolski nadał osadzie Tarnowskie Góry prawa miejskie. W 1528 roku wydano pierwszą ustawę górnictwa pod nazwą „Ordunek Górniczy”. W 1534 roku odbył się pierwszy na Górnym Śląsku strajk górniczy. W 1683 roku Król Jan III Sobieski w drodze na odsiecz Wiednia zatrzymał się z wojskiem w mieście i biesiadował w kamienicy, gdzie dziś jest słynna restauracja „Sedlaczek” z pysznymi krupniokami śląskimi. W 1713 roku otwarto w Tarnowskich Górach pierwsze polskie gimnazjum na Śląsku. W 1734 roku August III Sas składał na tarnogórskim rynku przysięgę polskiej szlachcie. W 1788 roku wprowadzono do eksploatacji pierwszą na kontynencie europejskim maszynę parową, a w 1803 roku założono pierwszą w Polsce szkołę gór-

niczą. Znany jest w historii Śląska udział mieszkańców tej ziemi w powstaniach śląskich i plebiscycie, w walkach o wyzwolenie społeczne i narodowe. W 1933 roku odbywa się w tym mieście walny zjazd delegatów Związku Towarzystw Polek.

Ziemia tarnogórska jest bogata w pomniki pamięci narodowej, bowiem lud śląski tej pięknej i posażnej w kruszce ziemi bohatersko walczył na przestrzeni dziejów aż po ostatnią okupację hitlerowską o słowo polskie, historię ojczyzną i kulturę polską i ani na chwilę nie ugiął się przed przemocą. Nauczycielstwo tarnogórskie wzięło również liczny udział w tajnym nauczaniu w okresie okupacji, wpajając w serca i umysły dzieci i młodzieży ducha polskiego i umiłowanie ojczyzny, placąc za to wolnością, krwią lub życiem.

Dziś na ziemi tarnogórskiej rozwija się przemysł, wyrosły nowe piękne osiedla, zadziwia ona gospodarnością i bogactwem.

Na zakończenie zlotu młodzież i harcerstwo tarnogórskie, pod kierownictwem wychowawców, zorganizowało w amfiteatrze w Ośrodku Harcerskim w Borowianach imprezę artystyczną; popisano się przepięknymi tańcami regionalnymi, piosenkami i recytacjami. Całość występów młodzieży i dzieci wypadła imponująco, tym bardziej że impreza odbywała się w opawie lasu, którego tak bardzo spragnieni są nauczyciele z zadymionego Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego.

W.L.



Nie ma to jak posiłek przyrządzony w kuchni polowej...
Fot. L. Kodłubaj

PRZY TENISOWYM STOLE

Na II Wojewódzkich Mistrzostwach ZNP spotkali się w Szkole Podstawowej nr 8 w Nowej Rudzie amatorzy tenisa stołowego z woj. wałbrzyskiego. Gospodarze zgotowali im bardzo miłe przyjęcie. Rozgrywki — przy czterech stołach — trwały, z przerwami na obiad i kawę, od rana do godziny 17.00. Sędziował Jan Bujak z KS „Piast” Nowa Ruda.

Zwycięsko z tych zmagani wyszły, zostając mistrzami województwa: Krystyna Ślaba — Rada Zakładowa Nowa Ruda

(I miejsce), Halina Kądziaława — Rada Zakładowa Wałbrzych (II miejsce) oraz Maria Mizerska — Rada Zakładowa Ziębice (III miejsce). Wśród panów, w kategorii niezrzeszonych, najlepsze wyniki uzyskali: Andrzej Jakimiec — Rada Zakładowa Kłodzko (I miejsce), Eugeniusz Sondaj — Rada Zakładowa Nowa Ruda (II miejsce) oraz Marian Kuberacki — Rada Zakładowa Mieroszów (III miejsce). W kategorii mężczyzn zrzeszonych zwycięzcą okazał się Wiktor Mizierski — Rada Zakładowa Ziębice.

Zwycięzcy otrzymali z rąk prezesa Rady Zakładowej, Stanisława Średnickiego, puchar, a wszyscy uczestnicy — dyplomy. Nie zabrakło też kwiatów od harcerzy miejscowej szkoły, której kierownictwo z dyr. Marią Kozakiewicz i grono nauczycielskie okazały ogromną pomoc w organizacji imprezy. Do sprawnego jej przygotowania przyczynili się także inspektor oświaty i wychowania — Jan Chmura, notabene jeden z zawodników.

ANECDOTA WĘDKARSKA

Siedzi wędkarz nad brzegiem Warty, łowi ryby. Szczęście mu dopisuje; co kilka minut wyciąga rybę. Nie wszystkie jednak zabiera. Te mniejsze chowa do torby, większe wrzuca do rzeki. Zauważył to przechodzący obok wędkarza chłopiec i zdziwiony pyta:

— Dlaczego pan wyrzuca duże ryby, a zabiera małe? Przecież wszyscy rybacy czynią odwrotnie?

— Bo ja mam tylko małą patelnnię — odpowiada wędkarz.

Walenty Jarecki

KONKURS

"BUDOWA"

Z okazji 35-lecia PRL „Głos Pracy” — ogłosił — przy współudziale Wydawnictwa „Książka i Wiedza” oraz Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa — konkurs na pamiętniki z okresu odbudowy Polski Ludowej pt. „Budowa”.

Celem konkursu jest zebranie wspomnień ludzi pracy, zwłaszcza aktywistów związków zawodowych, wszystkich tych, którzy uczestniczyli w tworzeniu podwalin życia w Polsce Ludowej, jej odbudowie i rozbudowie.

Najciekawsze prace lub ich fragmenty publikowane będą sukcesywnie na łamach „Głosu Pracy”. Planuje się także wydanie wyróżnionych wspomnień w formie książkowej.

Zachęcamy naszych Czytelników, zwłaszcza zaś działaczy związkowych, do udziału w konkursie. Jest to bowiem dobra okazja do spopularyzowania na szerszym forum wkładu pionierskiej pracy nauczycieli i ich organizacji związkowej w dzieło odbudowy i rozbudowy naszego kraju. Wspomnienia mogą dotyczyć dowolnego okresu Waszego życia i pracy w Polsce Ludowej.

Na autorów najlepszych prac czekają nagrody w wysokości: I nagroda — 10 tys. zł; trzy II nagrody po 5 tys. zł; pięć III nagród po 3 tys. zł oraz szereg wyróżnień po 1 tys. zł.

Wspomnienia można nadsyłać — pod adresem „Głosu Pracy” (00—375, Warszawa, ul. Smolna 12) do końca października br.



(Dokończenie ze str. 7)

niektóre mają zeszyty. Brak elementarzy są — trzy na całą klasę, odrzebane przez nauczycieli w zdewastowanych domach wśród butwiejącego dobytku ludzi, którzy poszli na wygnanie. Jest tablica i kawałek kredy. To musi na razie wystarczyć.

Rozmawiam z dwiema nauczycielkami, Nguon Sao In ma lat 25, Roath Kammath jest od niej kilkanaście lat starsza. Obydwie zaznały podobnego losu: wysiedlenie, staranne ukrywanie własnego zawodu, bo za sam fakt przynależności do niego groziła śmierć. Ciężka, fizyczna praca na ryżowych polach, pod morderczym upałem, w prymitywnej i nędzy. Dwa razy dziennie posiłki — po miseczce cienkiej zupy z rozgotowanego ryżu, wodnistej, bez tłuszczu, bez ryb, bez mięsa. Cukru, mleka, mydła te kobiety nie widziały od lat. Każda z nich straciła męża i kilku członków najbliższej rodziny. Jeszcze kilka miesięcy temu żyły w koszmarnie, zagrożone śmiercią — teraz, gdy tylko okrutny reżim Pol Pota przestał istnieć, zgłosiły się do pracy.

Sasiadnią klasę uczy młody mężczyzna, Mai Men. Pracował kiedyś jako mechanik w ambasadzie USA w Phnom Penh.

— Mam skończoną szkołę podstawową i lubię dzieci — powiada z prostotą. — Zaproponowano mi, żeby je uczyć czytać i pisać. Robię to, jak potrafię. Kiedy znajdą się inni nauczyciele, lepsi, bardziej wykwalifikowani, pójdę do pracy w jednej z naszych fabryk.

Wywoływane dzieci stają przed tablicą, lepiej lub gorzej odczytując wypisane na niej tekst. Widok ten coś mi przypomina... Rok temu, na pograniczu wietnamsko-kambodżańskim, podczas ówczesnych zbójczych napadów Czerwonych Khmerów na chłopów w wioskach wietnamskich, odwiedzałam obozy jeńców czerwonych khmerskich, wziętych do niewoli przez Wietnam-

czyków. W bambusowych barakach widziałam tablice szkolne z wypisanym kredą alfabetem khmerskim; najmłodsi z jeńców, wyrostki 13—15-letnie, dopiero w niewoli uczyli się czytać i pisać w swoim rodzimym języku. Przedtem uczono ich jednego: zabijać w imię „Angkar Leu”. Władzy Najwyższej...

Chłopiec, stojący przy tablicy, ma 18 lat, nazywa się Chun Vot. Czyta dość płynnie tekst wypisany ręką nauczyciela-robotnika. Co kilka słów robi pauzę i wtedy wszystkie dzieci powtarzają chórem to, co zostało przeczytane: „Kocham ojca i mamę. Rodzice są dobrzy. Pracuję, żeby dać nam jeść. Kocham moje rodzeństwo. Miał bracią i siostrą zostali w domu. Mieszkamy razem. Chcę być dobrą córką, dobrym synem...”

Słucham cichego tłumaczenia na francuski tych jakże zwykłych, prawie banalnych słów — i uprzytamniam sobie, że zawierają one prawdy do niedawna wyklęte i zakazane w khmerskim życiu. W tym życiu nie było bowiem miejsca na takie uczucia jak miłość i przyjaźń, jak przywiązanie dziecka do rodziców, szacunek dla nich, jak wspólne życie rodzinne pod jednym dachem...

Wracając do Phnom Penh, przejeżdżamy obok dawnego liceum Tuol Svay Prey. Trzy ładne, kilkupiętrowe, nowoczesne budynki wzniesione za rządów Sihanouka, w roku 1976 Czerwoni Khmerzy przekształcili na więzienie nazwane Tuol Sleng. Było to najstraszniejsze, najbardziej okrutne z więzień reżimowych. Narzuca się porównanie z hitlerowcami, którzy siedzibę warszawskiego gestapo wraz z katownią urządzili w gmachu dawnych władz oświatowych Polski, przy Alei Szucha. Nie ma obecnie w Kambodży ani jednego człowieka, który wyszedł żywy z więzienia Tuol Sleng...

Po kilku dniach zobaczę szkołę, a raczej jej załazek, obok fabryki włókienni-

czej, która wkrótce po wyzwoleniu Phnom Penh wznowiła działalność. Podobny widok: kilkadziesiąt dzieci, klasa szkolna w bambusowym baraku bez ścian. Nauczycielka, pani Han Sokum, wykladała do 1975 roku literaturę w liceum phnompenhskim z francuskim językiem nauczania. Wkrótce po wejściu do stolicy Czerwoni Khmerzy zabili jej męża, dziennikarza gazety informacyjnej, wydawanej w języku francuskim: „Dépêche du Cambodge”. Poszła na tułaczkę z ośmiorgiem dzieci. Przeżyło tylko troje najmłodszych. Piątka starszych, wszystkie powyżej lat dwudziestu znalazły śmierć z rąk Czerwonych Khmerów...

Nazajutrz rozmawiam ze spotkaną na ulicy nauczycielką Soung Sanny. Prosi mnie, aby przekazać do francuskiego Czerwonego Krzyża wiadomość, że żyje — dla dwóch najstarszych synów, którzy w roku 1972 wyjechali na studia do Paryża. Męża mojej rozmówczyni, inspektora urzędu celnego, zamordowali Czerwoni Khmerzy. Dwoje jej dzieci ocalało. Najstarsza osiemnastoletnia córka została uprowadzona i zamordowana, gdyż nie chciała zgodzić się na przymusowe małżeństwo. Małżeństwa takie, kojarzone przez „Angkar Leu” często pomiędzy ludźmi, którzy wcale przedtem się nie znali, były praktyką powszechną w reżimie Pol Pota.

Trwa Międzynarodowy Rok Dziecka... Pochylona nad notatnikami i zdjęciami, jakie przywiozłam z Kambodży, myślę o dzieciach khmerskich, dzieciach, które należą do najniebezpieczniejszych w świecie; Kambodżę obecnie wciąż jeszcze przytłaczają wspomnienia niedawnej grozy. Myślę o dzieciach i o nauczycielach, którzy, choć sami przeżyli piekło, szukają ocalałych książek i gromadzą wokół siebie ocalałych z zagłady uczniów.

MONIKA WARNEŃSKA

„GŁOS” WYJASNIA

URLOP MACIERZYŃSKI A WYNAGRODZENIE

Kol. W.Z. pyta: „Jestem nauczycielką na urlopie macierzyńskim. Jaki zasiłek czy wynagrodzenie przysługuje mi w czasie tego urlopu?”

Nauczycielka w okresie urlopu macierzyńskiego nie otrzymuje zasiłku macierzyńskiego, lecz zachowuje prawo do pełnego, ostatnio pobieranego uposażenia obejmującego:

a) uposażenie zasadnicze, jakie przysługiwałoby nauczycielce, gdyby w tym czasie pozostawała w służbie czynnej;

b) ewentualne dodatki do uposażenia (funkcyjny, służbowy, za trudne warunki pracy lub szkodliwe warunki pracy) w wysokości należnej za miesiąc, w którym rozpoczęła urlop macierzyński.

W okresie urlopu macierzyńskiego wynagrodzenie za zajęcia

dydaktyczno-wychowawcze, nie podlegające zaliczeniu do norm obowiązującego wymiaru godzin (godziny ponadwymiarowe) wypłaca się w wysokości średniej miesięcznej z okresu 12 miesięcy poprzedzających miesiąc rozpoczęcia urlopu macierzyńskiego.

Natomiast wynagrodzenie za: sprawowanie opieki nad biblioteką szkolną; dodatkowe czynności wychowawcze w internacie szkoły macierzystej oraz pełnienie funkcji niepełnoetatowego dyrektora, szkoły zawodowej przyzakładowej — wypłaca się wynagrodzenie w wysokości średniej z ostatnich trzech miesięcy poprzedzających miesiąc rozpoczęcia urlopu macierzyńskiego.

Kol. P.T. pyta: „Czy osobie, z którą zawarto umowę zlecenie na prowadzenie zajęć dydaktycznych w szkole, przysługuje urlop macierzyński, jeśli w okresie prowadzenia tych zajęć osoba ta urodziła dziecko?”

Umowa zlecenie nie stwarza stosunku pracy, a tylko taki stosunek stanowi podstawę i źródło prawa pracy, w tym także podstawę uprawnień dotyczących ochrony pracy kobiet. Oznacza to, że osobie prowadzącej zajęcia dydaktyczne w szkole na podstawie umowy zlecenia urlop macie-

rzyński i inne związane z tym uprawnienia nie przysługują.

Jednocześnie informujemy, że w okresie urlopu macierzyńskiego nie przysługuje nauczycielce etatowej wynagrodzenie pobierane w innej szkole niż macierzysta, na podstawie odrębnej umowy zlecenia.

Dyrektor zespołu szkół zawodowych pyta: „W jakiej wysokości należy wypłacać nauczycielce uposażenie służbowe w okresie urlopu macierzyńskiego, jeżeli przed tym urlopem była ona zawieszona w służbie z ograniczeniem uposażenia do połowy?”

W okresie urlopu macierzyńskiego wypłaca się pełne ostatnio pobierane uposażenie. Ponieważ ostatnio pobierane przez tę nauczycielkę uposażenie ograniczone zostało do połowy, to w okresie urlopu macierzyńskiego należy jej wypłacać takie uposażenie, o ile w całym okresie urlopu macierzyńskiego będzie trwał zawieszenie w służbie i ograniczenie uposażenia.

PRACE ZLECONE A EMERYTURA

Kol. E.F. pyta: „Czy zarobki z tytułu umowy zlecenia na prowadzenie zajęć dydaktycznych w szkole podlegają zaliczeniu do podstawy wymiaru emerytury?”

Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych w piśmie z dnia 24 października 1974 roku, nr Ubezp. 529—24/74 poinformowało, że podjęta została decyzja o zaliczeniu do podstawy wymiaru świadczeń emerytalnych wynagrodzeń uzyskiwanych na podstawie umowy-zlecenia, a wypłacanych przez szkoły z osobowego funduszu plac. Dotyczy to wynagrodzeń z tytułu umów zlecenia zawieranych z nauczycielkami na prowadzenie zajęć dydaktycznych.

Zasada ta ma zastosowanie do wynagrodzeń uzyskiwanych przez nauczycieli od 1 września 1973 roku, tj. od daty wejścia w życie zarządzenia ministra oświaty i wychowania z dnia 2 lipca 1973 roku w sprawie przepisów wykonawczych dotyczących praw, obowiązków i uposażenia nauczycieli (Dziennik Urzędowy Ministerstwa Oświaty i Wychowania nr 12, poz. 100).

FLORIAN JAWORSKI

PRACOWNICY POSZUKIWANI

Dyrekcja Zbiorczej Szkoły Gminnej w Dzierżoniowie zatrudni z nowym rokiem szkolnym 1979/80 w Szkole Podstawowej w Bagardzie nauczycieli o specjalnościach:

- język polski
- język rosyjski
- matematyka
- geografia lub biologia
- zajęcia praktyczno-techniczne
- wychowanie fizyczne

Mile widziane są małżeństwa nauczycielskie. Mieszkanie rodzinne zapewnia się.

K-118

Dyrekcja Zespołu Szkół Rolniczych, 72-310 Ploty, ul. Faderewskiego 13, zatrudni z dniem 1.IX.79 r.:

- 1 nauczyciela matematyki
- 2 nauczycieli przedmiotów zawodowych o specjalności:
 - ekonomika i organizacja przedsiębiorstw rolnych
 - hodowla zwierząt

Wymagane wykształcenie wyższe. Zapewniamy pokoje w domu nauczycielskim.

K-117

Dyrekcja Zespołu Szkół Rolniczych w Wojewodzinie k. Grajewa zatrudni z dniem 1.IX.1979 r. nauczycieli o specjalności:

- zootechnika
- mechanizacja rolnictwa
- wychowanie fizyczne

Warunki pracy i mieszkaniowe do uzgodnienia na miejscu.

K-114

OGŁOSZENIA DROBNE

SZTANDARY — PROPOZCJE wykonuje Pracownia Haftów Artystycznych. Irena Szalowa, dypl. mistrz haftarski. 61-815 Poznań, Ratajczaka 26. Tel. 22-26-20.

Biuro Ogłoszeń, 00-940 Warszawa, ul. Wiejska 12; dla nr 116.

116

Magister matematyki poszukuje pracy z mieszkaniem. Oferty:

Pracownia Haftów Artystycznych Ewa Orlińska, 64-143 Poznań-Smochowice, ul. Muszkowska 13.

119

GŁOS NAUCZYCIELSKI

REDAGUJE ZESPÓŁ: Danuta Bukłowa (kierownik działu listów i interwencji), Hugon Bukowski, Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Czesław Górski (redaktor techniczny), Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Hanna Polakiewicz, Alicja Rzewicz (kierownik działu związkowego), Krystyna Rogalska (kierownik działu szkolnego), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Henryka Witalewska (kierownik działu kultury i wychowania), redaktorzy graficzni: Józef Olejka, Jan Roeki, kierownik administracyjny — Anieja Pawlak, korekta: Irena Kościelnik, Hanna Kalinowska.

ADRES REDAKCJI: 00-389 Warszawa, ul. Spasowskiego 63. Telefon: 36-10-11, 36-34-30, 27-66-30. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 33-24-11.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” 02-017 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/86. Nr indeksu 35923. Zam. 2187. C-100

Zmarł w Krośnie, w wieku 80 lat

KOLEGA STANISŁAW CHRZANOWSKI

emerytowany kierownik Wydziału Oświaty i Wychowania w powiecie krosńskim w latach 1944—1967, działacz ZNP, współtwórca jednego z pierwszych w Polsce Domów Nauczyciela w Krośnie, odznaczony między innymi Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Swoją postawą — jako zwierzchnik i kolega — zyskał sobie uznanie, szacunek i sympatię wśród nauczycielstwa i miejscowego społeczeństwa.

Cześć Jego Pamięci!

Zmarł w wieku 71 lat

KOLEGA STEFAN ZIELIŃSKI

emerytowany nauczyciel, były dyrektor Technikum Mechanicznego nr 2 w Poznaniu, wieloletni nauczyciel szkół podstawowych i zawodowych, uczestnik tajnego nauczania w czasie okupacji, aktywny działacz ZNP, współzałożyciel organizacji związkowej w powiecie wolsztynskim, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką, ZNP, Medalem X-lecia PRL, Honorową Odznaką miasta Poznania.

Cześć Jego pamięci!

przed META

ZA ROK...

Twórca nowożytnych igrzysk baron Pierre de Coubertin ogłosił pamiętną maksymę, że w igrzyskach olimpijskich liczy się nie zwycięstwo, lecz udział w nich, co brzmiało pięknie i obiecująco. Ale na tym się skończyło. Smak zwycięstwa olimpijskiego szybko wziął górę. Triumfatorów poszczególnych pojedynków gloryfikowano jak Cezara po powrocie ze zwycięskich bitew. Ostatnio mistrzów olimpijskich nobilituje się i wysławia pod niebiosy. Sprawy zainteresowane są władze państwowe. Nagradza się mistrzów olimpijskich najwyższymi odznaczeniami.

Nie dziw przeto, iż zawodnik zapytany, na co liczy i czego oczekuje, odpowiada zwykle: „interesuje mnie tylko zwycięstwo” lub: „przysięgam, by wygrać — jakiegokolwiek miejsce poza pierwszym wcale mnie nie ciekawi”.

Baron nie przewidział takiego obrotu rzeczy. Nie wiedział, bo wiecie wtedy nie mógł, jak daleko posunie się rywalizacja sportowa i jakie za sobą pociągnie skutki. Udział? Kogo dziś stać na luksus polegający na samym zamianowaniu udziału w igrzyskach? Zresztą, żeby znaleźć się wśród startujących olimpijczyków, nie wystarczy już sama chęć, jak wystarczała dawniej. Limity wynikowe są tak wygórowane, że tylko najwybitniejsi, najpracowitsi są w stanie sprostać zadaniu wylegitymowania się nimi przed startem.

Oczywiście, że udział w igrzyskach jest już wystarczającą satysfakcją. Tyle, że została poprzedzona, bo takie są reguły i zasady, ogromną pracą treningową, wyrzeczeniami i trwającą długo (aż cztery lata) pogonią za olimpijskim paszportem. Cze-

go to nie wymyślono, by ktoś mógł otrzymać takie wyróżnienie.

Różne kółka olimpijskie, szczeble, po których zawodnicy muszą się wspinać z meczącymi kwalifikacyjnymi zawodnikami, będącymi sprawdzianem, czy delikwent jest gotów wykonać się tym, czego odeń się oczekuje. A oczekuje się wyników na najwyższym światowym poziomie.

Igrzyska to nie zabawa. Nic dziwnego, że ich zwycięzcy to prawie bohaterowie narodowi i ludzie tak stawni jak wybitni twórcy, aktorzy, wynalazcy, pisarze. To porównanie brzmi może zbyt koturnowo i krzywdzi tych ostatnich, ale i oni są pełni uwielbienia dla mistrzów olimpijskich oraz podziwu dla nich, co niejednokrotnie wyrażają w książkach czy scenariuszach filmowych.

Olimpiady mijają i przychodzą nowe. Również za rok kolejna olimpiada, jak wiadomo powszechnie, odbędzie się w Moskwie. Pierwsza olimpiada w kraju socjalistycznym. Nie dziw, że budzi nowe nadzieje i wielkie zainteresowanie. Mogliśmy się o tym przekonać podczas Spartakiady Narodów — imprezy rozgrywanej rokrocznie w Związku Radzieckim jako próba sprawności tamtejszych sportowców. W tym roku Spartakiada była generalnym sprawdzianem gotowości Moskwy dla przyjęcia olimpijczyków w 1980 r. Jak wypadł — szeroko pisały dzienniki i periodyki wychodzące na całym świecie. Do Moskwy przyjechali przecież najlepsi sportowcy z dziesiątków krajów, europejskich i zamorskich. Wszyscy pragnęli na własne oczy zobaczyć obiekty, na których spotkają się za rok w walce o medale. Złote, srebrne, brązowe.

A jednak i na Spartakiadzie największa bitwa toczyła się o „złoto”. Bo to również przymiarka i pierwszy krok do ewentualnego wpisania się za rok do galerii sław zwycięzców olimpijskich. Wygrywali najlepsi. Czy będą nimi również podczas igrzysk moskiewskich, czy tak samo wrócą z tarczą? Któż to może przewidzieć.

Rok to długo. Dla tych zwłaszcza, którzy uzyskali obecnie wysoką formę. Nielatwo ją utrzymać. Może minąć, jak mija lato, jesień i inne pory roku. Za krótko natomiast dla młodszych kolegów sportowych asów — juniorów, którzy również tęsknią i marzą o sławie olimpijskiej. Przybędzie im rok, gdy w Moskwie zaplanie olimpijski znicz. Ale czy w ciągu dwunastu miesięcy staną się dojrzałymi sportowcami gotowymi wystartować z tymi, którzy osiągnęli już bardzo wiele i osiągać pragną coraz więcej? Kto może wygrać ten nierówny wyścig?

Marzyciele, a myślę o juniorach z obiektywem naszej Spartakiady Młodzieży, zakończony pomyślnie w Bydgoszczy, mierzą stły na zamiary i właśnie marzą, marzą... I wcale nie stoja na całkiem straconej pozycji. Niespodzianek doświadczyły dziesiątki faworytów, którzy przegrywali i „oddawali” złote medale młodym. Kibice pamiętają dobrze wybitnego, czarnoskórego skoczka wzwyż, Thomasa z USA, który na igrzyskach w Rzymie był murowanym pretendentem do złotego medalu. Przegrał ze skoczkiem radzieckim. A ostatnia olimpiada? Czy ktokolwiek dawał szansę na złoty medal dziewiętnastoletniemu Polakowi, Jackowi Wszole? Jacek wrócił ze „złotem” i sławny jest do dziś. Czy wśród setek tych, którzy przewinęli się przez arenę ostatniej Spartakiady Młodzieży jest ktoś, kto rokuje takie nadzieje jak Jacek?

Ba, któż to wie, kto może powiedzieć: tak lub nie! Wypada poczekać.

Czekamy więc wszyscy. Na udział (a jednak udział) w olimpijskim świecie, licząc już nie miesiące, lecz tygodnie, a nawet dni, z niecierpliwością oczekując przede wszystkim wielcy mistrzowie, na szczęście wzięcia udziału w olimpijskiej batalii licząc młodzi sportowcy. A my na przeżywanie ich sukcesów. O niepowodzeniach nie mówmy. Bo w ugruwa ją wszyscy olimpijczycy.

MIECZYSLAW BILSKI



FRASZKI

RZECZYWISTOŚĆ

Myślisz, że nosi aureolę.
W istocie chmurę ma na czole.

CEL DYSKUSJI

Czasem chodzi o jedno:
żeby nie trafić w sedno...

ŚWIĘTA PRAWDA

Nie naraża się na fiasko,
kto ukrywa twarz pod maską.

ZORIENTOWANY

Choć wielki gaduła zeń,
wie kiedy milczeć jak pień.

Bogusław Wieczorek

PAPIER NA CEGŁY

Może nam odpowie
ktoś w liczeniu biegi,
ile to papieru
idzie dziś na... cegły?

Wiesław Czermak

GLÓWKA PRACUJE

Dobrze gdy pracuje główka —
rzekł półgłówek do półgłówka.

ROZMYŚLANIA

Psu na budę potrzebna
Jest taka zaduma,
gdy po rozum do głowy
zacznie sięgać tuman.

Jan Gross

POWTARZAM SOBIE

Jeżeli zamierzasz
popęlić fraszkę szkolną,
winienesz wiedzieć:
o czym i jak wolno.

MOJA WAKACYJNA PRZYGODA

Przeżywałem ją nie na wczasach,
ani na wycieczce,
ale po prostu — w domu,
jak Diogenes w beczce.

Kazimierz Gorzelok

CENA ELEGANCJI

W sklep Mody Polskiej
wznowiły mnie anioły,
kupiłem szaty
i wyszedłem — goły.

SKROMNA SATYSFAKCJA

Ci w Złotych Piaskach,
tameci w Zagorze,
nad Bałatonem,
w Splicie nad morzem,
we Włoszech nawet
są na urlopie!
Ja nad Bałtykiem...
Też w Europie.

Fryderyk Podolecki

DO WIZYTATORA

Gdybyś wszczął dyskusję
po swej wizytacji,
zapewne byłbyś górą...
Mógłbyś nie mieć racji?
Lecz na łamach „Głosu”
nauczyciel ma rację,
daj mu więc zalecenie:
uważać na wizytatokrację.

Julian Kanis

MYŚLI TAKIE SOBIE

Dziś najlepiej mieć kogoś znajomego za
granicą własnych możliwości.

Nie sztuka myśleć, gdy się nic nie wie.

Nic dziwnego, że traci na wartości ten,
kto się przecenia.

Władysław Włodarczyk

Może wielka wojna nerwów przejdzie
kiedyś do historii.

Józef Witkowski

Tyle mamy cudownych dzieci. Ale dla-
czego nie ma cudownych dorosłych?

Zbigniew Uchnast

JESZCZE RAZ O FLIRCIE Z MELPOMENĄ

Artykuł Antoniego Sodulę pt. „Flirt z Melpomeną w szkole zasadniczej” („Głos” nr 17/79) skłonił mnie do kilku refleksji. W większości przychylnych i będących kontynuacją zasadniczej myśli autora, w paru jednak przypadkach — polemicznych. Wyrosły one z moich własnych doświadczeń w pracy z młodzieżą.

Podobnie jak kol. Soduła pracuję również w szkole zawodowej i to w mieście legitymującym się po Warszawie największym wskaźnikiem tzw. inteligencji technicznej — w Gliwicach. Nasza młodzież jest więc przypuszczalnie bardzo do siebie zbliżona — głównie środowiskowym czy rodzinnym ustosunkowaniem do sztuki i humanistyki. I dlatego edukacja teatralna tej młodzieży musi mieć charakter szeroko zakrojonej akcji obejmującej wiele form oddziaływania.

Tymczasem autor artykułu problem ten ujmuję zbyt jednostronnie. Wychowanie przez teatr ogranicza tylko do uczestnictwa uczniów w przedstawieniach teatralnych oraz wcześniejszych prelekcji i późniejszych dyskusji. Jest to, oczywiście, bardzo dużo i przynależało by nie każda szkoła podejmuje się realizacji podobnego ambitnego planu. Jest to jednak zbyt mało, gdy chce się osiągnąć w tej pracy pełne powodzenie.

Jeśli wierzy się w olbrzymie możliwości wychowawcze teatru, należy działać w sposób „totalny”. Inaczej zawsze będzie trzeba przyznać, że „z kulturalną młodzieżą szkół zawodowych nie jest najlepiej”. Kol. Soduła osiągnął znaczne sukcesy, lecz jednak i tak w końcowym rozrachunku pozostało mu 39 proc. młodzieży, w której jego praca „nie zaszczepiła zamiłowania do teatru”. Dlaczego?

Sądzę, że odpowiedź jest prosta. Czytam ją między wierszami jego artykułu: „Oczywiście, nauczyciel-polonista nie może tego zrobić sam. Jeżeli edukacja teatralna w danej szkole ma przebiegać prawidłowo, konieczne jest zainteresowanie tym problemem wszystkich: dyrektora, całego grona pedagogicznego”. (Jeżeli się mylę, to bardzo przepraszam i dyrektora, i nauczycieli ZSZ Kombinat Dźwigów Osobowych w Warszawie).

W Zespole Szkół Mechaniczno-Hutniczych, w którym pracuję, zadanie edukacji teatralnej młodzieży spoczywa na prawie całym zespole

pedagogicznym, a przede wszystkim — na dyrektora. Zaczęło się 6 lat temu; w gronie paru osób, nauczycieli tej szkoły, powstała myśl zorganizowania corocznego konkursowego Przeglądu Teatryków Klasowych. Impreza w pierwszym roku kaleka (tylko 3 klasy wzięły udział) — już w latach następnych zyskała sobie dużą popularność, a obecnie stała się zjawiskiem masowym.

Wiele by o tym konkursie można napisać — są przecież klasy, które wyspecjalizowały się w komediach, inne skłonną z tragedii, jeszcze inne sięgają po repertuar antyczny, są też zespoły typowo awangardowe. Nie brakuje jednak form kabaretowych czy teatrów poezji i publicystyki. Oczywiście, najwięcej pracy mają poloniści. To oni najczęściej podpowiadają repertuar, są na próbach generalnych, dokonują ostatnich korekt.

Szczególnie wiele pracy w rozwój tej imprezy włożyły koleżanki: J. Bikuńska, A. Koprowska i T. Tomczak. Ale najwięcej pracuje młodzież. Zaangażowany jest zawsze cały zespół klasowy. Każdy spektakl daje przecież wiele możliwości uaktywnienia — opracowanie muzyczne, scenografia, gra aktorska, reżyseria, itd. I dlatego chyba rzadko który uczeń naszej szkoły pozostaje wobec teatru obojętny.

Na spektakle do sąsiedniego Zabrze czy nawet dalej położonych Katowic nikogo nie trzeba namawiać — jadą całe klasy i zazwyczaj brakuje biletów. Organizujemy też kilka razy do roku teatralne wyjazdy do Krakowa i Warszawy.

Samo jednak uczestniczenie w widowiskach teatralnych byłoby edukacją niepełną. Uczeń nie może po prostu na przeżywaniu i klasycznym katharsis. Późniejsze dyskusje też nie przybliżą mu samej istoty sztuki teatralnej. Kształcą one bowiem nie tyle zamiłowanie do teatru, ile zmysł krytyczny i umiejętność selekcji problemowych zjawisk czy postaw. Po wyjściu ze szkoły, w warunkach nie zawsze sprzyjających kontynuowaniu zainteresowań, fascynacja odmiennym i odświeżającym charakterem nowej formy wychowawczej może szybko minąć i uczeń powiększy szeregi ludzi obojętnych.

Dopiero aktywny udział, twórczy wkład i pełne poznanie procesu powstawania dzieła teatralnego, a przede wszystkim rozmawianie w grze aktorskiej (d ewentualny poklask!) zapewniają trwałość uczuć i żywy kult dla Melpomeny. Łatwiej jest

wtedy, już na bazie osobistych doświadczeń, dyskutować na temat poziomu spektakli teatrów zawodowych. Sądzę więc, że właśnie równoczesność dwóch metod, pierwszej percepcyjnej i drugiej ekspresyjnej — twórczej, gwarantuje pełne powodzenie wychowawcze.

Nasunąć się mogą wątpliwości, czy warto tak wiele uwagi poświęcać wychowaniu młodzieży przez teatr. Przecież powie ktoś — szkoła zawodowa to nie szkoła teatralna. Warto! Jest to czynnik tak samo mocno integrujący klasę, wyzwalający w wychowankach wartości dodatnie, że zżęsto my, pedagodzy, bywamy zdumieni pozytywnymi zmianami dokonującymi się po kolejnych przeglądach w klasie czy w zachowaniu poszczególnych uczniów. Zresztą oni sami domagają się od nas organizowania konkursu dwa razy do roku.

Tylko, niestety, nas jeszcze na to nie stać! I byłbym zbyt optymistyczny w swych wywodach, gdybym nie widział pewnych niedociągnięć. Nie wszyscy bowiem wychowawcy rozumieją olbrzymią dydaktyczną funkcję teatru żywego planu.

Moim uwagom przyswiewała nie zdrożna chęć chwalenia się, lecz przede wszystkim pragnienie wymiany doświadczeń. Zwłaszcza wobec faktu powstania Krajowej Rady Postępu Pedagogicznego każda innowacja i propozycja dydaktyczna jest szczególnie cenna. Sądzę, że nauczyciele innych szkół mogą zaproponować swoje odmienne metody i formy pracy w tej właśnie dziedzinie. Być może lepsze, ciekawsze, efektywniejsze. Tymczasem jednak, na obecnym etapie, mogę stwierdzić, że nasz wysiłek przynosi pozytywne rezultaty.

Dwóch niedawnych absolwentów gra w teatrach zawodowych (np. Jan Kluska główną rolę w „Nowych cierpieniach młodego W” w Wabrzychu), obecni uczniowie są laureatami ogólnopolskich konkursów recytatorskich.

Przykład naszej działalności przenosi się do innych szkół zawodowych w Gliwicach. A że z kulturą teatralną młodzieży tych szkół nie jest źle, świadczą najlepiej wyniki ostatniego Miejskiego Przeglądu Zespołów Artystycznych Szkół Ponadpodstawowych. Do Wojewódzkiego Przeglądu zakwalifikowały się tylko teatralne zespoły szkół zawodowych...

ALEKSANDER CHŁOPEK
Gliwice